

ZARANIE ŚLĄSKIE

ROK X

ZESZYT 3



Ornament na pierwszej stronie okładki, odbity z matrycy używanej dawniej do drukowania płócien śląskich, a znajdującej się obecnie w Muzeum Miejskim w Cieszynie.

SPIS TREŚCI:

<i>Łysek Jan</i> , Oddział śląski w Legionach Polskich	114
<i>Maurer Henryk</i> , O „Istych rokach“ Ernesta Farnika (Część pierwsza)	118
<i>Jesionowski Alfred</i> , Śladami Pawła Stalmacha (Twórczość ks. Emanuela Grima)	126
<i>Filipowicz Kornel M.</i> , Zapalniczka	136
<i>Dyboski Roman</i> , prof. dr, Wartości kulturalne Śląska dla Polski	142
<i>Wantula Andrzej</i> , ks., Sprawa Pawlitki	146
<i>Popiołek Franciszek</i> , Groby Piastów Cieszyńskich (Część pierwsza)	149
<i>Morcinek Gustaw</i> , Koński czerep	154
<i>Eisenstein A.</i> , O starym cmentarzu żydowskim w Cieszynie	158
<i>Buzek Andrzej</i> , ks., Notatki	162
<i>Materiały</i>	168
<i>Recenzje i sprawozdania</i>	170

Redakcją kieruje Komitet.

Prenumerata wynosi rocznie 8 zł wraz z przesyłką pocztową, w Czechosłowacji 32 Kcz.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: CIESZYŃ, UL. STALMACHA 14.

P. K. O. Warszawa 180.524. — P. U. C. Praga 30.693.

(Konto Tow. Oszczędności i Zaliczek w Cz. Cieszynie.)

Poszczególne egzemplarze zamawiać można: w Księgarni Katolickiej w Katowicach, w księgarniach „Dziedzictwa“ i „Nowe Kresy“ w Cieszynie, oraz w księgarni Macierzy Szkolnej w Cz. Cieszynie.

Manuskryptów nie zwraca się.

Wydawca: Towarzystwo Ludoznawcze w Cieszynie.

Redaktor odpowiedzialny: Jerzy Szczurek

Druk wykonany czcionkami Drukarni „Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra“ w Cieszynie.

ZARANIE ŚLĄSKIE

Rocznik X.

Cieszyn-Katowice, dnia 30 września 1934.

Zeszyt 3.

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy
O tobie bając, dotąd pieśń o tobie marzy.

1914 — 1934



Wymarsz oddziału śląskiego Legionów Polskich z Cieszyna we wrześniu 1914 roku.

Oddział śląski w Legjonach Polskich.

Artykuł niniejszy przedrukujemy z „Dziennika cieszyńskiego” (1916, 1), pragnąc w ten sposób uczcić dwudziestolecie wymarszu cieszyńskiego oddziału Legjonów Polskich (1914—1934), a równocześnie przypomnieć ostatnią, mało znaną pracę ś. p. por. Jana Łyska. Zawiera ona historję powstania oddziału śląskiego i opis walk, ze szczególniejszym uwzględnieniem udziału Ślązaków, przed przeniesieniem tej części Legjonów, w której znaleźli się Ślązacy, na północny teren wołyński. Ś. p. Łysek napisał artykuł niniejszy w ostatnich dniach września 1915 roku i oddał go w ręce por. Przepilińskiego, który zaś przesłał tę ostatnią spuściznę literacką do Cieszyna za pośrednictwem Czaczki-Rucińskiego. W przepięknym miejscami opisie, owianym gorącą i szczerą miłością do tak bliskiej sercu Jego kompanji śląskiej, umiał ś. p. Łysek wspomnieć i podkreślić zasługi wszystkich innych, nie napisał natomiast o sobie. Pod tym względem zmienił artykuł ś. p. por. Przepiliński, poza tem artykuł przedrukujemy bez zmian. Szczegółowe opracowanie dziejów oddziału śląskiego i dalsze jego losy czekają ciągle jeszcze na swego historyka. — Przypisek redakcji.

„O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!” Zagrały surmy wojenne, a na ich głos rolnik porzucił kosę, rzemieślnik warsztat, robotnik kilof, kto żyw, ruszał do miasta, bo tam go powoływała kartka mobilizacyjna. Odchodził z nieogarnionym żalem w duszy, bo cóż tu bez niego pocznie stary ojciec, albo żona, albo też dzieci małe? Cóż się stanie z „gruntem”, w który dusza jego wrosła, a po którym tak złowrogo hula teraz odgłos trąbki, zwiastującej wojnę, pożogę, śmierć?

Zeszło się ich w Cieszynie setki, tyśiące, dziesiątki tysięcy. Dzień i noc ulicami miasta płynęła rzeka ludzka. Potem to wszystko ruszyło w pole na bój... na krwawy bój.

Ruszyły na wojnę krociove armje potężnych narodów europejskich. Ruszyły

musiały i polskie drużyny, „Legjonami” nazwane, aby ratować honor narodu polskiego, by nikt nie gadał w Europie, że w „bojach olbrzymów” było o wszystkich głośno, tylko o Polakach cicho, że już się w Polsce wyrzeczono nietylko chęci naśladowania dawnych bohaterów, ale i chęci brania udziału w historii świata i gotowości tworzenia własnych swoich dziejów.

Poszły więc w pole Legjony Polskie. A nasz Śląsk kochany po raz pierwszy wysłał z niemi to, co miał... na co go było stać. Pierwszy to raz młodzieńcy śląskich wiosek poszli do Polskich Legjonów. Nasłuchali się o tem wojsku w szkołach ludowych i średnich, na odczytach z latarnią świetlną widywali na ekranie chorągwie skrzydlatej husarii naszej, potem szwadrony ułanów, lecące jak wichura na śmierć i życie z pałaszem w rękę, albo chmury chłopstwa, jak z pogardą śmierci, a z pieśnią na ustach wydziera wrogowi armaty... albo czwartaków „z bagnietem w rękę” i t. d.

Ale to były tylko opowiadania, bo „wojska” polskiego nie było przez długie lata. Leżało w ziemi ojczystej i na najdalszej obczyźnie pogrzebane razem ze strzaskanemi kopjami swemi, ze złamanemi szablami i bagnietami, ze zgruchotanemi armatami, tylko ze sławą nienaruszoną po wiek wieka. Pozostały po tem wojsku tylko baśnie w chatach chłopskich opowiadane, że ono nie umarło, tylko śpi w jakichś górach... Jedni mówią, że w Czantorji, inni, że aż het w Tatrach...

Aż oto polskie surmy bojowe ogłaszają światu, że Legjony Polskie znowu są!!! Że się organizują w kompanje, bataljony, regimenty...

A z Cieszyna „tata” Przepiliński rozsyła po wioskach wezwania i wieści, że

i ślascy chłopcy mają stanąć, bo Śląsk, to żadna dziadowska kraina, tylko odwieczna, starodawna, polska, piastowska, dzielna i ofiarna ziemia, której należy się część wzięcia udziału w wielkiej „wojnie o Polskę“.

Zaraz też zaroił się Park Sikory. Zaludniły się stodoły czcigodnych gospodarzy w Sibicy. Potem na boisku parkowym codziennie musztrował się półbataljon, uczył się „bitwy“ na okolicznych polach i strzelania w strzelnicy wojskowej w Boguszowicach. Codziennie gromady publiki zjawiały się w parku dla oglądania tego „wojska“ i aż się czasem oczy śmiały. Oto na boisku poza stawkiem stoją dwie kompanie, „drużynami“ wtedy jeszcze nazywane. Błysk szabli w słońcu porannem, jakiś głos polskiej komendy, a kompanie wyciągają się w długą kolumnę marszową; miarowym krokiem idą ku bramie, potem skręcają na prawo wzdłuż Olzy het na nasze jasne śląskie pola, na nasze rosą okryte ścierniska... Boże! Na ten widok sam książę Józef klasnąłby w dłonie.

*

Nareszcie niesłychanym nakładem pracy „taty“ Przepilińskiego, profesora Hajduka, nauczyciela Łyska i innych instruktorów, doskonale wyekwipowany i wyćwiczony półbataljon śląski Polskich Legionów wyjechał z Cieszyna dnia 21 września 1914, — żegnany serdecznie przez całe miasto, ale najserdeczniej przez własne społeczeństwo. Na śmiertelne zapasy, na „mękę przez krew i łzy“ szła młodzież nasza ochotnie, w kwiaty polne strojna, z pieśnią na ustach...

Ach Boże! Tyłu już ich nie wróci...

*

Marzeniem wybitniejszych osób na Śląsku było, aby ten oddział w łonie Legionów pozostał nierozdzielony, jako widoczna, realna ofiara krwi, którą Śląsk składa Polsce. Oddział został w Mszanie Dolnej włączony do 1 bataljonu 3 pułku Polskich Legionów, ale ze względów or-

ganizacyjnych musiano go rozerwać. Stworzono z niego jedną kompanię, liczącą 250 ludzi, zwaną odtąd: 2 kompania 3 pułku Polskich Legionów. Resztę ludzi rozdzielono po innych kompaniach.

„Drugiej kompanii 3 pułku Polskich Legionów“ wyznaczono na komendanta porucznika Stefana Paślowskiego ze Lwowa, z dawnych zaś komendantów Feliks Hajduk i Jan Łysek zostali mianowani podporucznikami i otrzymali komendy, pierwszy plutonu I, a drugi plutonu IV. „Tatę“ Przepilińskiego, mianowanego porucznikiem, ponieważ odznaczał się wielką energią w pracy organizacyjnej i aprowizacyjnej, powołała komenda na ważne stanowisko „oficera prowiantowego“ całego pułku 3. — Odtąd losy śląskiego oddziału związane są ściśle z losami 3 pułku Legionów Polskich.

A więc podróż na Węgry, marsze bojowe pod komendą dzielnego pułk. Józefa Hallera z nizin węgierskich na północ w Karpaty; — potem uroczemi dolinami rzek w coraz dziksze okolice Karpat. Marsze w błotach, deszczach, a nawet śniegach, przez lasy, zapelnione stadami jeleni, przez rumowiska, po których niedźwiedź się wałęsa, przez polniny huculskie, na północ. Potem krwawe bitwy pod Nadworną, Fitkowem, Mołotkowem, otwierające zejście z Karpat w doliny galicyjskie.

Ogromne były wrażenia tych pierwszych bitew. Huk armat zdawał się trząść gruntami Karpat, a w przestankach grzechot karabinów हुआ w lasach i przemieniał się w jakiś przeciągły jęk czy płacz dolin, niepojętą skargę przełęczą na gwałt, zadawany przez wojnę tym dzikim ostępom, których spokój dotychczas przerywał tylko „wiatr halny“, albo dalekie odgłosy walk zwierząt leśnych.

Po odwrocie z pod Mołotkowa pułk 3 bronił aż do lutego przełęczą Panteriskiej. Wtedy to w śnieżcach, zawiejach, „fujawicach“, mrozach i roztopach trze-

jach oręża polskiego pamiętna pozostanie ofensywa z nad Prutu do Bessarabji, sławna z tego, że każdą pięćdziesiątą ziemi niemal trzeba było Moskalowi wydzierać bagnetami. Bitwa pod Łużanami, Witelówką, Szubrańcem, Zadobrówką, Rokitną i nad Rarańcem, oto fazy tej ofensywy, w której dzielnie spisywała się także „śląska kompanja“. Dowodził nią w tym okresie podpor. Henryk Chelmiński, gdyż porucznik Łysek miał komendę I bataljonu.

Pomiędzy Łużanami a Witelówką, ścigając ustępującego nieprzyjaciela, brnęli nasi chłopcy powyżej kolan w rozmokłych trzęsawiskach wśród piekielnego ognia artylerji rosyjskiej. Zaraz nazajutrz pomiędzy Witelówką a Szubrańcem dostali się w morderczy ogień działowy. Jest tam łagodnie wznoszące się wzgórze, pokryte łanami pszenicy. Ale długa posucha wysuszyła ziemię do tego stopnia, że kiedy artylerja rosyjska ostrzeliwała wojska, biorące to wzgórze, to za każdą salwą wznosił się w powietrze tuman kurzu, gwałtowny, jak wybuch wulkanu, a gęsty jak wyziew z jakiejś piekielnej czeluści.

A kiedy całe wzgórze znalazło się w takim ukropie, to zdawało się, iż wzgórze to płonie, że objął je ogromny pożar i nakrył tumanami dymu i prochu. Zapewnie z boleści skamieniałyby niejedna śląska matka, gdyby spojrzała na wzgórze, a powiedziano jej: „Tam jest także twój syn...“

A tymczasem „syn“ i wszyscy jego koledzy idą naprzód, jak niepowstrzymana fala, idą z pogardą śmierci, nie dbając zgoła o to, że tu i tam wydiera się z bratniej piersi bolesny, rozdzierający jęk.

Dnia 17 czerwca nad Rarańcem nieprzyjaciół podstępem, udając poddanie się, — wdarł się w okopy I bataljonu 3 pułku Legionów. Wtedy to, w bezpośrednim, okropnym niebezpieczeństwie znalazła się także „kompanja śląska“. Ale na wezwanie, by się poddać, zatknęli żołnierze nasi „bagnet na broń“ i z okrzykiem „Chryste

Jezu!“ — rozpoczęli wścieklą, śmiertelną obronę szanca. W ostatniej wreszcie rozpaczy zdawało się, iż śmierć nieunikniona, że i szaniec i życie stracone. Wtem pułkownik Zieliński puszcza na pomoc rezerwę, która krzykiem „hurra!“ zwiastuje ratunek. Wtedy już zdradziecki nieprzyjaciół rzucił broń i poddał się, ale okopy dymiły od krwi naszej i moskiewskiej. W dniu tym poległ także między innymi śmiercią bohaterską — komendant drugiego plutonu, sierżant Tadeusz Farny.

W lasu dębowym ma mogiłę prześliczną, codziennie świeżem kwieciami ozdabianą. Kochają tę mogiłę nie tylko koledzy poległego, lecz wszyscy oficerowie i żołnierze 3 pułku. Stała się ta „śląska mogiła“ — jak ją powszechnie zowią, motywem dla piosenek, ulubionym tematem do artykułów dla różnych sprawozdawców wojennych.

W kilka tygodni później runął w okopy z kompanji granat rosyjski. Rozbił bastion, trzasnął w tylną ścianę i rozprysnął się na kawałki... Jeden z takich odłamków zranił boleśnie w rękę podporucznika Filipka, komendanta 1-go plutonu. Z żalem opuścił Filippek swoich żołnierzy, z żalem też żegnali go jego podkomendni. W jego miejsce przydzielono do kompanji podpor. dra Stanisława Wiesenberga.

*

Oddawszy komendę bataljonu kapitanowi Zaleskiemu, który powrócił z urlopu, porucznik Łysek objął znowu w lipcu komendę swojej kompanji. Nie zerwał z nią stosunków również porucznik Przepiliński, aczkolwiek ciągle jeszcze zajęty prowianturą 3 pułku. Kiedy tylko może, zjawia się w okopach z ojcowiskiem słowem: „Chłopcy! może tam czego potrzeba!...“ A jeśli który z tych „chłopców“ padnie, to „staremu“ pokazują się łzy w oczach, jakby to własne jego dzieci ginęły. Z całego grona oficerów, którzy ongiś opuścili Cieszyn, pozostali z „śląską kompanją“ tylko ci dwaj porucznicy, ca-

łem sercem oddani podwładnym, przez
nich równie serdecznie ukochani.

✱

W karpackich przełęczach, w lasach niebytowskich, nad uroczymi brzegami Prutu i na stepach bessarabskich wyrosły groby żołnierzy, których Śląsk ofiarował Polsce. Ci już nie wrócą do nas; ani na „grunt” ojcowski, ani do szkoły, ani do kopalni. Na rozsypanych ich mogiłach pobledną napisy, zetrze je czas bezlitosny. Lud tamtejszy zapomni nazwisk i miejsca rodzinnego leżących w tych mogiłkach bohaterów. Rodzice nie odnajdą miejsca ich grobowego odpoczynku.

Ale mimo wszystko mogiły te są święte, wielkie, niezapomniane.

Stały się one pieczęcią, którą odcisnęło dzisiejsze polskie społeczeństwo na Śląsku na wszystkich aktach pracy narodowej od lat sześćdziesięciu. Są one egzaminem, jaki wobec Polski Śląsk, walcząc w Polskich Legionach, chlubnie złożył i zadokumentował krwią serdeczną swoich dzieci, swoją do Polski przynależność.

Cześć tym mogiłom ofiarnym, których nie znajdzie ni matka, ni ojciec, ni brat, ni siostra, ni przyjaciel, ni kolega, ani owo tęskniące, ukochane dziewczę ślaskie.

Henryk Maurer.

O „Istych rokach“ Ernesta Farnika.

W dwudziestopięciolecie premjery*).

W jednej z wiosek laskich w dórzeczu Stonawki, u Siekierów, zamożnego stadła gazdów czyli siedloków śląskich, zanosi się na ważną zmianę. Oto ich siedmnastoletnia córka Zuzanka, jedynaczka, pieszczocha taty i mamy, spodobała się panu Pieczoncze z Cieszyna, człowiekowi, jak to prawią „bildowanemu“ a porządne mu i z pieniędzmi, solicytatorowi adwokackiemu, bezmała „halwokatowi“. I jeszcze pan Pieczonka nie przyjechał do dziedziny, aby zacząć zalety, jeszcze nie sprezentował swoich „biglowanych galot“ i kapelusza z „wypresowanym fałdem“, ani też jego piękny „fusek pod nosem“ nie wpadł jeszcze w oko starei

Mynarzycy, co wraz z mężem siedziała u Siekierów na wymowie — a już po jego stronie stoi nietylko ta ostatnia, pamiętająca dobrze z lat młodych takich „fajnych panoczków” miejskich, ale także Siekiera i Siekierzyna. Trzeźwo myślącemu Siekierze podoba się szczególnie zasobność pana solycytatora i jego „piękne” stanowisko, a oprócz tego i on i jego połowica radziby strasznie pozyskać dla swej Zuzanki co lepszego, uważając, że „lepszy, by sie wydała do miasta”, bo tam „będzie miała lekcjejszy chleb”.

A sama Zuzanka? Jest to jeszcze, jak powiada o niej stary Mynarzyk, „jabłuszko nie bardzo zdrzałe, gąsie, co ledwa kapkę w pierze podrosło... Takimu sie tam jeszcze byle co spodoba.“ Więc i ona w zasadzie nie ma nic przeciw „zoletnikowi“. Nie chodzi jej co prawda o samego Pieczonkę. Co tam — myśli sobie — nie będzie ten, to będzie inny; już i tak przecież dwóch konkurentów odpaliła! Jednak i jej uśmiecha się myśl zоста-

¹⁾ Iste roki, sztuka w trzech odsłonach dla amatorskich scen ludowych na Śląsku, napisał Ernest Farnik, Złanie śląskie, I, 23—30, 142—145; II, 8—22, 80—86, 176—181; toż jako odbitka, Cieszyn, październik 1908, Nakładem autora, Drukarnia Towarzystwa Domu Narodowego (Pawła Mitregi) w Cieszynie, str. 38 + 2 nlb.

nia „paniczką“... Zresztą chciałaby już raz spróbować tego narzeczeństwa, o czym tyle piszą różne książki. Sienkiewicz zwłaszcza... Jak błogo musiało być np. tej Helenie w rozkwitłym sadzie wiśniowym sam na sam ze Skrzetuskim i — kukulką! A ten Kmicic, przygarniający z takim bezceremonjalnym animuszem płowowłosą dumną pannę Aleksandrę, w świetlicy, w ów zimowy tęskny wieczór dziewiczy, kiedy to jakby na wołanie serdeczne rozmarzonej stanął przed nią niespodzianie niby królewicz z bajki, cudny, pułapu głową sięgający i taki śmiały, ach, taki śmiały i porywczy! Albo podczas owej szalonej jazdy w saniach, co miały kształt niedźwiedzia, gdy jego soboli kołpak pochylał się raz po raz nad okoniem Oleńki! Hej, ten Kmicic, ten Kmicic!... Więc czemużby i ona, Zuzanka, nie miała skosztować tych słodkości! I owszem — gotowa choćby zaraz... Nade wszystko wszakże zachwyca ją ten śliczny jedwabny fartuch, który jej teraz pozwolono włożyć z powodu gości... I dla tego fartucha głównie i Zuzanka także strasznie rada, że zaletnicy przyszli.

Są jednak dwie osoby w domostwie Siekierów, które tym zaletnikom strasznie znowu nie rade. To młody Jędrys, którego Siekiera jako sierotę „wzion za swe“ i stary Mynarzyk, wymownik u tego gazdy.

Jędrys chował się od dziecka wraz z Zuzanką. Była mu zawsze miła i zawsze stawał w jej obronie, gdy się jej krzywdą jaka działa. Potem jednak poszedł na trzy lata do wojska i przez cały ten czas nie widział dorastającej właśnie towarzyszkii. Kiedy wrócił, ujrzał ją cudną jak pączek róży w rozkwicie i wówczas serce jego nagle zapłonęło ku niej silną miłością. Ale na małżeństwo Zuzanki z Pieczonką zaniósł się jeszcze na kilka dni przed powrotem Jędrysa z wojska. Dowiedziawszy się o tem, cichy, spokojny chłopiec zamknął się w sobie i postanowił milczeć. Pozwalał sobie tylko co najwyżej na wpa-

trywanie się w fotografię ukochanej, noszoną w modlitewniku i na całowanie ukradkiem żrebięcia w gwiazdkę na czole, pocałowaną przedtem przez Zuzankę.

Ale miłość Jędryka nie uszła baczności czujnego Mynarzyka. Wiesioły ten starowina, mimo lat sześćdziesięciu rzeźki jeszcze fizycznie, a umysłowo bardzo bystry, był niegdyś przyjacielem ojca Jędrysa. „Mychmy oba dzierzeli do gromady aż radość“ — powiada sam o tym stosunku. Ponieważ zaś przed śmiercią ten strasznie dobry kamrat zlecił mu opiekę nad swoim synem w słowach „Francku, par coby też z moigo Jędrysa co było“ — więc pocziwy Franek zajął się chłopcem jak rodzonem dzieckiem, strzegł go jak oka w głowie i radby mu był zawsze nieba przychylić. Nawet Siekierom sprzedał swój grunt i poszedł do nich na wymowę dlatego, aby mieć Jędrysa pod okiem.

Mynarzyk więc już ze względu na Jędrysa nie mógł życzyć dobrze zaletnikom Zuzanki, t. j. Pieczonke i właścicielowi gospody „Pod modrą gwiazdą“ w Cieszynie, w chwili, kiedy się zbliżali do chałupy Siekierów. Przeciwnie — życzył im z całego serca, by połamali nogi, choćby przed samym progiem. Ale istniała też i inna, głębsza przyczyna, że był im przeciwny.

Był on mianowicie — jak powiada o nim własna żona — „już z natury taki rozeźnany na miejskich ludzi“, że nie mógł znosić ich widoku. Szczególnie tych, którzy, jak Pieczonka, przychodzili na dziedzinę po „piniądze“ i po „dzieuchy sielskie“, aby z nich zrobić „błoznów“, przestrajając je w miejską spodnicę i „słomiany kłobuk z kwiatkami“, czyli kapelusz. Albowiem co do pieniędzy — twierdził Mynarzyk — to tych w mieście „je dość w kasach, kapsach i rozmaitych sztajramtach“. Co zaś do „dzieuch sielskich“ — uważał — to te, takie piękne w swoim stroju rodzimym, takie „pęcate“, w tych „miejszczokach“ wyglądają

szcze i trzpiot, ale właśnie dlatego bardzo trudny do utrzymania w ręku, z których mógł się łatwo wysliznąć niczem piskorz lub kropla rtęci. Tem bardziej, że oprócz tej natury żywego srebra, związanej z wiekiem, były tam jeszcze różne inne sprężyny, które, niebacznie naciśnięte, mogły Zuzankę — niby lalkę sprężynową — bardzo łatwo podrzucić i wyrzucić z rąk solycytatora.

Jedną z tych sprężyn on sam nacisnął niezręcznie już z samego początku. Stanowiło ją już wspomniane wyżej i określone rozmarzenie dziewicze i pełna ciekawości ochoczość Zuzanki do narzeczeństwa, która przy „istym słowie” wcale nie podrzędną grała rolę. Tu zaś dziewczynę odrazu spotkało niemiłe rozczarowanie. Albowiem Pieczonka okazał się, jako narzeczoną, zgola niepodobnym do Kmicica, czyli okazał się — jak go po swojemu a dosadnie określiła Zuzanka — „bułą”. I ta „bułowatość” solycytatora, polegająca na tem, że zamiast „żeby przyszedł bliżej i chociaż się podziwił pięknie” na nią, on tylko od czasu do czasu kłania się jej, i to „z daleka” — ta „bułowatość” zepsuła mu odrazu „interes” u bogdanki. Bo ta, zawiedziona już w pierwszej chwili w swych panięńskich oczekiwaniach, pozwoliła natychmiast odezwać się wrodzonej bystrości i postanowiła sobie „dawać pozór”, kogo też Pieczonka właściwie więcej miłuje, ją, czy „tатовą kapkę”. Takie zaś zwracanie bacznej uwagi, taki sceptycyzm narzeczonej grozi zawsze niebezpieczeństwem narzeczonemu, który, jak solycytator, ma sumienie niecałkiem czyste. Zuzanka wprawdzie nie cofnie się odrazu, ale po tej ścieżce, po której dziewczęta biegają zwyczajnie na złamanie karku i z zamkniętymi oczyma, ona będzie stąpała od początku ostrożnie, przystawając od czasu do czasu i oglądając się poza siebie. I będzie szła z coraz większą niechęcią i ociąganiem, zwłaszcza, jak w miarę posuwania się na-

przód poczną się w niej odzywać i inne siły, dotąd nieporuszone.

Zuzanka kocha żywo i jawnie swą piękną mowę polską, szczególnie tę czystą, literacką, którą tak chętnie i ku takiemu dziwowi matki porozumiewa się z Jędrysem. I wskutek tego będzie ją musiała niemiłe dotknąć niechęć narzeczonego do posługiwania się polszczyzną, tudzież jego twierdzenie, że „rządzić po niemiecku — to fajniejszy”, twierdzenie, na które ona się nie godzi. Dalej jest w niej silne przywiązanie do pięknego stroju śląskiego, które tylko na pewien czas usnąć może żądza zobaczenia się „frelką, paniczką”, które jednak obudzi się w niej zaraz pod wpływem wstydu, gdy ją wyśmiejemy Mynarzyk, przebraną w miejskie „lonty”. Wreszcie ma Zuzanka dużą ambicję, poczucie własnej godności i wartości — i ono właśnie, gdy raz zostanie zranione boleśnie przez Pieczonkę, zawróci ją z błędnej drogi stanowczo, bezpowrotnie już i nieodwołalnie.

Lecz pozwólmy mówić samym wypadkom. Po wiośnie, w czasie której przyjeżdża oświadczyć Pieczonki, przyszło lato, a z niem „we żniwa” wyjazd obojga Siekierów wraz z Zuzanką do Cieszyna. Tam miała się Zuzanka „przestroić” u pewnej „szwadleny z Szerokiej hólce”, a następnie pójść z solycytatorem „na fare, dać na ogłoszki i pierszy roz na naukę chrześcijańską”. Zaczem na koszt narzeczonego miały się odbyć „iste roki” w „ekstracymrze gospody pod Modrą Gwiazdą”, której właściciel swatował był Pieczonkę u Siekierów. Pojechał też do miasta i Mynarzyk, zgodnie z postanowieniem, a ponieważ wobec masy zajęć w taki dzień uroczysty przydać się mogła także stara Mynarczykowa, więc i ją wzięto z sobą.

Pierwsza część programu Siekierów i Pieczonki, na ten dzień ułożonego, poszła jak z płatka. Załatwiono i przestrojenie Zuzanki u „szwadleny” i sprawę „ogłoszek” tudzież „nauki chrześcijań-

mnie się nawet kapkę, ale się obudzi, skoro mu „kwit wyfuczy“ — a co więcej, przyjmie nawet poczęstunek od Pieczonki. Bo co tam jemul!... Wypić to on tam wypije, „choćby przy tem miał oczy zamrzeć, ale swoi zrobić“...

I siedzi sobie Mynarzyk i popija „książeczą“ i patrzy, jakby nic. A tu już zaczął się obrzęd „istych roków“. Gospodzki pali uroczystą orację, w której zwraca uwagę narzeczonym na ważność takich zaręczyn. Mynarzyk nic — patrzy tylko i słucha. Podczas zamiany pierścionków podnosi się jednak zwolna, ale jeszcze nie mówi nic, tylko patrzy. Dopiero w chwili, gdy na wezwanie gospodzkiego, skierowane do narzeczonych, aby się wobec wszystkich przytomnych pocałowali, solycytator chce przystąpić do wykonania tej sympatycznej czynności — dopiero wtedy Mynarzyk podbiega żywo i, stając pomiędzy nim a Zuzanką, rzuca mu w twarz spokojnie, ale dobitnie takie słowa: „Pocałują se jejich szwadlene, precz tu od porządnej dzieuchy sielskiej!“

Grom spadł — ale widoczny jego skutek dotknął najpierw dzielnego Mynarzyka. Bo rozwścieklony solycytator pchnął go z taką siłą w piersi, że starowina padł na ziemię bez przytomności. Dopiero po tym czynie Pieczonka zerwał się nagle, zdjął z palca pierścione i, rzuciwszy nim z pasją o ziemię, wybiegł z izby jak oparzony. I daremne było wołanie gospodzkiego, który się za zbiegiem puścił w pogoń: „Herr Pieczonka, bleibens! machens keine Dummheiten! Wohin? Dyć doczka ją, wróć się, Herr Pieczonka!“ — Pieczonka nie wrócił.

A w rodzinę Siekierów jakby kto węża wpuścił. Siekierzyna straciła głowę, Siekiera zaś po otrzeźwieniu Mynarzyka nuż go wypytywać, skąd o tem wszystkim wie. Ten, osłabiony uderzeniem i upadkiem, nie chcąc się wdawać w zatarg z kobietami, oświadczył jeno, że wszystko wiadome jest również jego

„starej“, która właśnie nadeszła z „pinklem“ wałaskich szat Zuzanki, i oddalił się, aby „zaprzongać“. Wszelako Mynarzyca zakłęła się na „wszyczko“, że nic nie wie. Podobnie też zaparła się gospodzka, gdy Zuzanka po wydobyciu od Mynarzyka wszystkiej prawdy wróciła z nią do izby. Siekierowie tedy, nie wiedząc, co o tej całej sprawie sądzić, postanowili poczekać aż do wyjaśnienia jej przez samego Pieczonkę — wyjaśnienia, mającego nadejść w osobnym liście, jak zapowiedział po powrocie z pościgu za zbiegłym narzeczonym gospodzki.

Jednakowoż Zuzanka już nie czekała tego listu. Nie wzięła też udziału w przygotowanym przez gospodzką obiedzie, do którego zasiedli uspokojeni nieco Siekierowie, w nadziei, że rzecz da się jeszcze bez wielkiej dla nich „gańby“ wyrównać. Dotknięta bowiem do żywego — nie w uczuciach wprawdzie dla Pieczonki, bo ten jej serca nie miał wcale, lecz w swej dumie i poczuciu godności, gdy znalazła swój pierścień zaręczynowy, porzucony przez Pieczonkę na podłodze — tem ostatniem zwłaszcza odkryciem śmiertelnie obrażona Zuzanka postanowiła urwać niemiłą nitkę raz na zawsze tak, aby się już nawiązać nie dała. Korzystając więc z nieuwagi rodziców, wyknęła się z pokoju, wsiała na wóz i kazała Mynarzykowi ruszać. Chciała wprawdzie przeszkodzić temu Mynarzyca — a przynajmniej przysiąc się sama, aby wałaskich szat Zuzanki nie „smyczyć pie-szo do chałupy“, ale Mynarzyk „jak ją zezdrzył, to jeszcze bardzy konie podcion“.

Triumf dzielnego Mynarzyka był zupełny. Markotno mu było wprawdzie nieco na myśl o Siekierach, co powiedzą, gdy wrócą do wsi, i czy też „jeny Jędryskowi nie zaszkodził“ tem wszystkim. I żałował, że, jak po tym upadku „na znaczki przyszeł ku sobie“, tego „stodjobelskiego“ Pieczonki już nie było — a tak go chciał dokumentnie „chycić pod hyr-

cie, gdy ona „wrywa mu się i chce odejść“, on „chyla ją oburącz za skronie i całuje przemocą“.

Nieszczęcie chce, że świadkami tej sceny są Siekierowie, którzy właśnie wrócili z miasta źli, że się listu od Pieczonki nie doczekali. Rzecz naturalna, że teraz cała historia z wystąpieniem Mynarzyka w gospodzie i ucieczką Zuzanki przedstawia się im jako zgóry z Jędrysem ułożona, wskutek czego gromy sypią się na głowę nieboraka. Siekiera, po wyjściu z chwilowego osłupienia, widząc, że Jędreka „zażenowany zabiera się do odejścia“ (Zuzanka, zaatakowana przez matkę, czmychła co prędzej przedtem), zatrzymuje go i krzyczy: „Stój ty chłystku, bo ci gnoty połomiem!... Ty sie tu opowiesz całować moją cere, co? Czy to je jako dziewczka z chlewa, co? Wara ci od moi dzieuchy, joch ji nie wychował dlo pierszygo lepszego smyka! Tfu! bo jak cie tu szasnę tą loską, tak bedziesz pamiętał, żeś od Siekiery dostał. Toś sie ty takich rzeczy przy wojsku nauczył! Bodejby cie wilcy zjedli, ty powsinogo, ty młyczoku, ty snoplu ty milijoński. Bier se twoi ździorby i pakuj mi tu stela do kroćset, aż cie ani na oko więcej nie widzem na moim groncie!...“

Jędreka na chwilę przybiera „postawę wyzywającą“, gdy jednak Siekiera „w bezsilnym gniewie odwraca się od niego plecyma“, oddala się spokojnie.

Całe szczęście, że za Jędrysem stoi dzielny Mynarzyk. Tyle już zrobił dla niego, potrafi więc jeszcze naprawić to, co on przez zbytnią krewkość zepsuł.

Z początku wprawdzie wcale się na to nie zanosi. Bowiem i Mynarzyk nie jest kąpany w zimnej wodzie. Usłyszawszy o wypędzeniu swego pupila, wypada na Siekierę z językiem i byłoby nawet do bójki przyszło, z której, kto wie, czyby wyszedł cało zacny gazda, gdyby nie niespodziewany sukurs Mynarzykowej. Nadeszła właśnie z „pinklem“ szat Zuzanki i — orjentując się szybko w sytuacji —

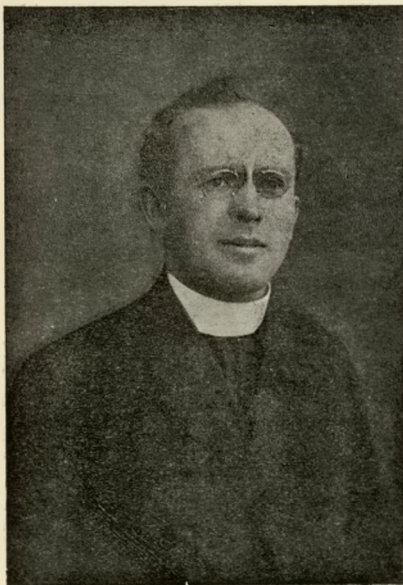
z żywą jeszcze w sercu złością do męża za to, że dzięki jemu „smyczyć“ musiała szaty pieszo, chwytając go z tyłu, „odwraca jak manekina“, wali „tłumokiem“ w grzbiet i zmusza do rejterady, rzucając mu na drogę takie oto skrzydlate słowa: „Ty sopuchu jadowity, kiż zazrak cie podsiod? Jeszcześ nimioł czasu wykrzyżbić? Pakujesz do chałupy sie wypać, ty niezdarzo lyso, bedziesz tu jeszcze na gazde nastowol!“...

Zawieszenie broni, choćby krótkie, było potrzebne, by strony wojujące mogły ochłonąć i zawrzeć trwałą pokój. Przyczynił się do tego znakomicie przyniesiony przez Mynarzykę list od gospodzkiego z doniesieniem, że „se to Pieczonka rozwożył i słowa dodzierżyć ni-może“, a jeszcze bardziej wiadomości, pozbierane przez nią w mieście „po chodniku“. Wynikało z nich dla Siekierów całkiem jasno, że nie mają co żałować Pieczonki, że owszem to, co się stało, stało się zupełnie dobrze i dla nich i dla „cery“. „Gańba“ wprawdzie pozostanie po tem wszystkim i im, „ojcom“, i „dzieusze“, jednakowoż lepsza taka „gańba“ niż nieszczęście.

Tak usposobiony Siekiera okazuje się bardzo pojednawczym wobec przeprosina Mynarzyka. Co więcej, za jego wstawieniem gotów cofnąć surowy wyrok, skazujący Jędrysa na banicję, a nawet nie odbierać temuż nadziei wysłужenia sobie z czasem Zuzanki. Gdy zaś wychodzi na jaw, że „taki chudobny on zaś tam nima“, bo ma uskładane w kasie trzy tysiące reńskich, częścią z własnych oszczędności, a częścią z tego, co mu też Mynarzyk przyłożył, jak Siekierom „chałupę przedoł i długi popłacił“ — Siekiera i (oczywiście także) Siekierzyna godzą się już bez żadnych trudności na oddanie córki Jędrysowi. Ponieważ zaś nie jest przeciwnemu również i Zuzanka (przebrana już po wałasku), więc Mynarzyk wygrał na całej linji.

*

nierzadko śpiewna. Są i wiersze okolicznościowe, refleksje religijne, wspomnienia historyczne. Na szczególną uwagę zasługują te wiersze, w które autor kładzie całe swe gorące serce polskiego patrioty, miłość do swej ziemi w najrozmaitszych warjantach. Jest to patriotyzm bez patosu i taniej frazeologii, niema żadnych szumnych i nierealnych hasel, wielkich obietnic nieiszczalnych, żadnego rozdzierania szat — jest to patriotyzm czyn-



Ks. Emanuel Grim.

ny, świadomy celu. Korzystając z najrozmaitszych okazji, nawołuje autor bezustannie, natarczywie, bez cikliwego sentymentalizmu do twardej wytrwałej pracy nad odrodzeniem narodem Śląska. Powtarza z sugestywną wiarą, że niedaleki już kres niewoli Polski, połączenia obu Śląsków z Polską całą, poeta widzi Polskę powstającą w zupełnie realnych kształtach. A ponieważ, zdaniem poety, czasy te bliskie, należy wyżyć wszystkie siły, by nadchodząca Polska się na swych sy-

nach nie zawiodła. Ta siła wiary w bliskie wskrzeszenie Polski nigdzie może w XX wieku nie przejawia się tak silnie w literaturze naszej, jak tu na Śląsku. Wymownym tego przykładem jest także ks. Grim. Szczególny ból przeżywa poetę na myśl rozdarcia obu Śląsków.

Poeta-cieszyński śle słowa otuchy, prośbę wytrwania do braci górnośląskich, ilekroć mówi i myśli o Polsce, o jej odrodzeniu, ilekroć duszę gnębi myśl o smutnym losie rozdartej Polski, myśl najserdeczniejsza biegnie do tych, którzy jęczą pod batem pruskim. Jest to jeden z najpiękniejszych przykładów ścisłej łączności obu Śląsków, wzajemnej współpracy, wspólnych dążeń patriotycznych, rzewny obraz jednej wielkiej Polski. Spokojny, serdeczny ton poety tylko wtedy nabiera goryczy, żalu, gniewu, gdy mowa o najgorszych wrogach Polski: o renegatach. Nie szczędzi im gorzkich słów upomnienia, wzywa do opamiętania, błaga, zaklina — a gdy to nie skutkuje, przeklina, grozi zemstą zarówno ludu jak i Boga, za ten najgorszy z grzechów: zaparcia się własnej mowy, swego ludu i rodziny, działanie na szkodę tych, z których wyrósł, za misę soczewicy.

Stosunkowo nieliczne są wiersze, w których poeta o sobie się zwierza, gdy mówi o własnych, osobistych przeżyciach. Mówi o swych walkach duchowych, o zwątpieniu, które duszę nieraz ogarnia, o zwątpieniach religijnych. Dokuczyło także pocie życie, kiedy kilkakrotnie wybucha ze skargą, mówi „Z goryczą” (3 wiersze pod tym tytułem). Pierwszy występ poetycki ks. Grima stanowi ciekawą i cenną pozycję zarówno w twórczości samego autora, jak i współczesnej literaturze śląskiej, mimo, że autor nieraz zupełnie bez potrzeby powtarza się (Tęsknota do Ziemi Śląskiej), mimo, że wiersze nie odznaczają się nadzwyczajną oryginalnością, mimo, że tu i ówdzie wiersz kuleje, razi chropowatością. Zbiór poezyj „Z nad brzegów Olzy” jest dla autora o tyle charakterystyczny, że zawiera w za-

łazku całą twórczość dalszą poety, nie zmienia się przynajmniej w innych utworach ideologia autora i główny zrąb twórczości, a te same momenty odnajdujemy później spotęgowane i oryginalniej wypowiedziane. W tym też jedynie zbiorze odsłania poeta trochę swe własne ja. Dla twórczości literackiej Śląska znaczenie zbioru jest poważniejsze. W swej ideologii stanowi zbiór ten w prostej linii kontynuację pracy narodowej Pawła Stalmacha i innych działaczy śląsko-cieszyńskich. Typowym poetą regionalnym staje się ks. Grim w „Baśniach z Podbeskidzia”. Jest to zbiór podań i legend górali beskidzkich, zebranych i wystylizowanych przez autora, aby je uchronić od zapomnienia, a również by zwrócić uwagę na ginące zwyczaje i typowe przejawy życia góralskiego na Podbeskidziu:

Czy serca z bólu nie jękną,
Gdy góry bez swojej krasy!?
Brak dawnych, górskich szalasy,
Brak kolib, koczorów, baczyl!
Niech dzisiaj przynajmniej w baśni
Góral o chwilach tych zaśni...

W tej intencji powstałe „Baśnie” kładzie poeta w usta starego baczycy Jana, który przy „nalepie” chętnym swe bajki opowiada. Język tych baśni literacki, tu i ówdzie jedynie znachodzimy jakiś wyraz z gwary górali. Wiersz naogół płynny, duża różnorodność rytmu. Autor unika moralizowania w formie skonkretyzowanej, stara się jednak wyraźnie uwypuklić piękno życia prawego, zgodnego, szlachetnego, poważną tradycję gazdów oddziela od rozwielniającego się nowego trybu życia górali, zapominających lub gardzących tradycjami. Silnie dźwięczy nuta żalu, że coraz bardziej giną szalase z gór, że się zatracają dawne obyczaje i zwyczaje. Wskrzeszając dawne legendy (Czerci Kamień — Na Girowej — Gradosz — Noc Świętojańska) przypomina tradycyjne wierzenia, zwyczaje i obrzędy ludowe, zachęca do powrotu do nich. Na czoło całego zbioru wybija się barwne, doskonale skomponowane opowiadanie

„O Kubie szalaśniku i Dorce Kubowej“. Utwór ten przypomina trochę podanie o „Ondraszku“. Góral przedstawiony jest jako doskonały gospodarz, odważny i śmiały mieszkaniec Beskidu, walczący w obronie swoich i powierzonych mu trzód z bandami granicznymi — bez złośliwego okrucieństwa, dbały o swój honor — ale zraniony w tem poczuciu staje się mściwy. Ginie w męczarniach bez jęku, bo wie, że zostanie pomszczony. Utwór ten jest prawdziwą perełką zbioru i świadczy o dużym umiarze poetyckim i zacięciu epicznem. Natomiast zupełnie chybiona jest „Rajka na Ochodzitej“, luźno skomponowana, zakończona wyraźnym morałem:

Lecz wam nie trzeba, górale,
W jamach szukać skarbów wcale,
Skarbem waszym — serca wasze...
Waszym skarbem czyste dłonie
i sumienie...

Zbiorek ten jest jedynym w całej twórczości ks. Grima, pozbawionym oczywiście tendencji patriotycznej.

Jak w „Kubie szalaśniku“ uwidaczniają się zalety epiczne, tak silniej jeszcze uwypuklają się te zalety w „Ondraszku“, ogłoszonym najpierw w „Zaraniu śląskim“, a potem w zbiorze „Z nad brzegów Olzy“. Pieśń ostatnia wyszła dopiero w roku 1931 (Ondraskzowe wesele. Dośpiew do „Ondraszka“, Zaranie śląskie, 1931, str. 177—180). Pieśń o Ondraszku oparł poeta na relacjach ustnych górali, wśród których postać bohatera góralskiego jest wciąż jeszcze żywa, oraz na zbiorze materiałów, zebranych przez Roberta Zanibala, a ogłoszonych w „Gwiazdce cieszej“ w 1872 roku. Na formę utworu decydujący wpływ wywarł „Pan Tadeusz“ Mickiewicza, co w treści uwydatnia się niejednokrotnie. Utwór rozpoczyna się inwokacją, składa się z 8 pieśni, z których każda poprzedzona jest ustępem, zawierającym streszczenie pieśni całej i moral. Treść obejmuje całe życie Ondraszka, od narodzin do śmierci, lata nauki i życie zbójckie — a w dośpiewie

opowiada poeta o losach żony Ondraszka i śmierci zdrajcy Ondraszkowego — Juraszka, oraz o synu pogrobowcu, który swem zacnem życiem zmazał winy ojca. Prawie dwadzieścia lat później ogłosił ks. Grim w „Zaraniu śląskiem” uzupełnienie p. t. „Ondraszkowe wesele” — gdzie poeta szeroko opisuje wesele Ondraszka z Hanką (o czem w pieśni VII wspomina tylko mimochodem). „Dośpiew” ten utrzymany jest w tej samej formie co i główna pieśń o Ondraszku. Zarówno „Kuba szalaśnik”, jak i „Ondraszek” świadczą o sporym talencie epicznym ks. Grima. Skomponowane są dobrze, akcja toczy się żywo i z rozmachem, opis jest szeroki i barwny, postacie ujęte plastycznie. Żałować wypada szczerze, że ks. Grim tak wcześniej porzucił ten rodzaj literacki dla formy scenicznej, dużo mniej udatnej i mniej odpowiadającej jego możliwościom poetyckim. Dalsze bowiem już utwory pisane są z myślą dla sceny, w formie dramatycznej. W roku 1919 pojawiły się „Jasełka śląskie” (wydanie drugie, uzupełnione wyszło w roku 1932). Utwór składa się z 5 odsłon i żywego obrazu. Odsłony I—III i V oparte są ściśle o tradycję biblijną, pisane wierszem dość płynnym, nawet dźwięcznym, o dobrej rytmice. Serdecznie i z pietyzmem ujęta postać Świętej Dziewicy ujmuje swą słodkością i dostojnością, wywiera duże wrażenie swem ludzkim cierpieniem i czułością Matki Św. Dzieciny. Również udatnie wypadła postać św. Józefa. Nie równomiernie plastycznie, często mało przekonywująco ujęta została postać Heroda, psychologicznie słabo uzasadniona. Treść „Jasełek” bardzo prosta, jakkolwiek oryginalnie ujęta. Odsłona pierwsza służy tylko do wywołania odpowiedniego nastroju (mowa o okrucieństwach Heroda), oczekiwania niezwykłych wydarzeń i zakończona jest zjawieniem się św. Rodziny. Pasterze, których widzimy w odsłonie drugiej na szerokiej łące niedaleko Betleem, łączą nas już z światem śląskim, bo pasterze ci, to górale beskidzcy. Od-

ślona następna pokazuje nam Heroda po-
śród pochlebców (swego dworu). Ma wy-
wołać grozę i napięcie, ale nie osiąga tego
celu, bo razi patosem i przesadą w akcji.
Natomiast niezwykle efektowna i oryginalna jest odślona IV, oparta na motywach regionalnych. Przed złóbkim u stóp Dzieciątka zjawiają się przedstawiciele całego Śląska: cieszyńskiego, górnego i niewyzwolonego. Są i górale, górnicy, wieśniacy, są dorośli i dzieci i jako postacie symboliczne Polska i Śląska Ziemia. Bacza, który przemawia pierwszy, żali się na złe czasy, jakie nastały dla górali. Śląska Ziemia, która następnie zabiera głos, szuka u Boskiego Dzieciątka zrozumienia dla ciężkiej doli Śląska i błaga o pomoc:

Boleści u nas tyle,
że aż serce pęka.
Pod brzemieniem się chylę
i tarzam w pokutnym pyłe,
bo za ciężka męka...
Rozdarto na dwie połacie
jak strzep, Śląsk mój drogi.

Żali się Śląska Ziemia, że olbrzymie skarby drżące w ziemi, są w posiadaniu obcych (Niemców). Niechże Dzieciątko da Śląskowi wiarę, wiarę w Boga i Sprawiedliwość — aż do chwili, gdy Śląsk będzie zjednoczony. Trochę niezrozumiały jest występ Polski:

Czy krew niewinnie przelana
nie znaczy nic?
czy zejdzie prędko, by z wody piana
łza bólu z lic?
czy przemknie smutku westchnienie,
by halny wiatr?
a żal — czy w dal się rozplynie
jak echo z Tatr?

Odnieśćby można te słowa do cierpień Śląska. Bardziej niezrozumiały jest następny wiersz:

Ześlij nie zemstę, Panie,
lecz opamiętanie(?).

Czy słowa te odnosić się mają do gnębieli tych Polaków, którzy pozostali poza naszymi granicami?

Aktualność uwzględnił poeta w wystąpieniu dwóch Górnolazaków. skarża.

Na polanie górskiej zebrała się gromadka dzieci i urozmaica sobie swe zajęcia pasterskie wesołymi zabawami. Wśród śpiewów, żartów, nawoływań i przekomarzań przyjemnie młodzieży schodzi czas. Nadchodzi Janek, „welebny isto” chłopiec, poważny, z książką w ręku, przyjęty zrazu kpinami z powodu swej uczoności. Niezrażony jednak opowiada Janek swym zgromadzonym towarzyszom i towarzyszącej pokolei dwie bajki. Druga bajka szczególnie budzi żywe zainteresowanie, bo mowa o ukrytych skarbach, jakie w nocy świętojańskiej znaleźć można. Kiedy Janek opisuje cudowną moc kwiatu paproci, dojrzewa w dzieciach myśl, by korzystając z dzisiejszej nocy świętojańskiej, wybrać się na poszukiwanie tego cudownego kwiecia (I odsłona). W nocy więc wybierają się dzieci na poszukiwanie. Rozstawiwszy strażę, rozchodzą się w las, szukając mimo lęku gorączkowo skarbu. Wtem robi się jasno w lesie, a przed wystraszonemi dziećmi jawia się Królowa Jadwiga. Nawiązując do kwiatu paproci, upomina dzieci.

Chcecie wiedzieć, gdzie dziś w świecie
szczęście wasze drzemie?
Nie w bogactwach, paproć kwiecie —
bo tam szczęścia nie znajdziecie.
Lecz kto kocha ziemię,
Śląskie łany te ojczyste,
Znajdzie szczęście oczywiste.

Z inną przestrogą i radą występuje potem Henryk (Pobożny). Zwraca się do dzieci, dzieci z za kordonu, by nie zatraciły polskiej mowy, by się jej nie zaparły, nie marnowały ziemi, dobytku ojców — lecz by wypiełgnowały polskie tradycje i obyczaje, by zostały wierne swej Ojczyźnie! Jako ostatnia zjawia przemawia Ziemia Śląska, ulubiona postać symboliczna ks. Grima. Zachęca do wytrwania, do mężnego przeciwstawienia się zakusom wynarodowienia, do kultywowania mowy ojców:

Mowę ojców — zwyczaj stary,
przywiązaniu do swej wiary,
dawnej chwały pieśni wieszczę
wtedy duch wasz wolny wzleci

i pokocha szczerze z bliska
te swojskie skarby klejnoty,
Kwiat paproci szczerzolioty.

Kończy serdeczną apostrofą do dzieci, by się stały szermierzami polskiej kultury wśród ludu ziem niewyzwolonych. Przyrzeczenie w imieniu dzieci składa Janek, a wszyscy razem odśpiewują na melodię rotty ślubowanie wierności Polsce. Utwór ten, aczkolwiek słaby w formie i niedociągnięty w budowie, jest pięknym wyrazem patriotyzmu poety, rozwija jego myśl najświętszą i najdroższą: pamięć o Śląsku Niewyzwolonym, konieczność pracy nad utrzymaniem polskości tamże, poświęcenie się dla ideału jednego, wielkiego, całkowicie z Polską związanego Śląska. Serdeczna i głęboko odczuta, szczerze i płomiennie wypowiedziana w utworze ideologia wynagradza rażące nieraz braki w formie. Podobne zalety i te same braki wykazuje ostatni utwór ks. Grima, poemat sceniczny „Wanda”. Pierwsza lektura tego poematu scenicznego sprawia wyrazne rozczarowanie, nie swą treścią, ale swą nierównością wiersza. Zatraciła się gdzieś względna gładkość i płynność „Jasełek”, a zupełnie nie osiąga dźwięczności wierszy zbioru „Z nad brzegów Olzy”. Wiersz rwie się, nierzadko wręcz kuleje, staje się chropawy, dźwięczy przykro. Nierzadkie są niestety takie wiersze jak ten:

A my na apel i na twój zew
jak w boju lali ze serca krew,
dziś woli wrogów przychodzimy wbrew...

Na większą potoczność i dźwięczność zdobywa się poeta w pewnych momentach, w chwilach ważnych dla Wandy decyzji lub rozważań. Wrażenie artystyczne jest nierówne, a w sumie raczej ujemne. To też „Wanda” nie ze strony artystycznej zasługuje na uwagę, bo i budowa utworu, psychologiczne uzasadnienie postaci pozostawiają dużo do życzenia, akcja mało żywa, czasem wprost rozwlekła (szczególnie przy końcu), Wanda za dużo mówi o swej ofierze. Przy powtarzanej lekturze słaba kompozycja i forma

ręki i sprowadziła przez to na swój kraj najezdźcę — zginąć musi na skutek ślubu w wiośnie swego życia, kochając i będąc kochaną. Ta część należy do najlepszych partyj „Wandy”. Odsłona piąta grzeszy nieprawdopodobną wprost rozwlekłością. Autor zamierzał przedstawić walkę duchową Wandy wobec piętrzących się przeciwności i uroku życia. Rycerstwo pragnie po odniesionem nad Rytygierem zwycięstwie wynieść Wandę na swą królową, kapłani zaś nie tylko zwalniają Wandę z uczynionego ślubu, ale nalegają, by wybór przyjęła. Wanda pozostaje niezłomna wobec gorącej i rozpaczliwej prośby Polana:

Od chwili, gdy złożyła bogom ślubowanie, do nich cała należę — nikt nie jest w stanie odmienić mej przysięgi, nawet same bogi. Zegnaj i przez śmierć kochaj serce oddane.

Wanda odchodzi, by spełnić ofiarę, a Polan popełnia samobójstwo.

I znów bogaty i ciekawy materiał jest niewykorzystany artystycznie. Ustawiczne powtarzanie Wandy, że spełnić musi swą ofiarę, nuży i nudzi. Gromadzące się okoliczności, które spełnienie ofiary odsuwają, działają sztucznie i bynajmniej się nie przyczyniają do ożywienia akcji, do spotęgowania tragizmu Wandy. Nieszczęsny rzeczywiście los Wandy nie wzrusza. Brak ekonomii słowa, nieumiejętność wykorzystania efektów i stopniowania momentów dramatycznych świadczy mimo inwencji o braku talentu dramato-pisarskiego ks. Grima. Bezsporną zaletą utworu jest jego oryginalne ujęcie tragedii Wandy, uczłowieczenie tej tragedii przez wzbogacenie jej pierwiastkami osobistymi, szczery i płomienny entuzjazm poety, który całemu utworowi nadaje serdeczne ciepło, zacna tendencja patriotyczna.

Dwie pozostałe odsłony mają z tragedją Wandy luźny tylko związek — połączone są zjawą Wandy. Wśród „studenckich sobótek”, które organizuje Stalmach, zjawia się duch Wandy i powołuje Stalmacha do pełnienia misji narodowej.

Stalmach znajduje się wśród kolegów nad brzegiem Wisły, niedaleko Skoczowa, gdzie według śląskiej legendy Wanda spełniła swą ofiarę. Wanda widzi niedolę ludu śląskiego:

Patrzę, ręce ludu kajdany gniotą,
a język wiążą kagańce!
Wróg na lud rzuca oszczerstwa błoto,
przyszłość chce zakłąć i w mydlanej bańce,
by go mamila, jak sknerę złoto,
chce mieć lud śląski sługą — hołotą!!
Ty się dla ludu wodzem stań
i do zwycięstwa wiedz!
bądź opiekunem i ojcem dlań,
gdy wróg zarzuci ciebie!!
Z zaparciem siebie ludowi służ,
by święty stróż,
a każdej duszy śląskiej strzeż.

Podobnie upomina Stalmacha zjawia druga, Duch Opiekunczy Śląska. Nakazuje mu hart duszy, siłę woli i wytrwałość w pracy nad budzeniem i utrzymaniem ducha polskiego w śląskim ludzie. Odsłona kończy się następującymi słowami Stalmacha:

Już się podnoszą Wisły opary,
a z nich wychodzi znów Książę stary —
z ognistej wody, z brzegów podnóża
wolno się postać Wandy wynurza
i ręce wnoszą nad nasze głowy...
Księciu i Wando: jestem gotowy.

W ten sposób wskrzesił autor uwielbioną postać Stalmacha, związał z najdawniejszą przeszłością, z symbolem niezłomnej polskości i bezgranicznej ofiarności z Wandą. Połączenie charakterystyczne dla twórczości regionalnej i patriotycznej ks. Grima.

Odsłona ostatnia stoi również pod znakiem sobótek, „sobótek juhasich” — czas: współczesność. Wśród juhasów i góralek, zjawia się (jak deus ex machina) Wanda i patrząc na nowoczesne sobótki na Wiśle, wspomina krwawe i smutne dzieje Śląska, rozdzielonego przez „kłam”, zapowiadając naprawienie tej krzywdy dziejowej. Autor wraca tutaj, podobnie jak w „Jasełkach” i innych swych utworach do rozdarcia Śląska, przypomina i nawołuje do pamiętania o kresach niewyzwolonych, zapowiada powrót tych ziem do

Jeszcze się uczestnicy Sobótki nie ocknęli po zjawie Wandy, kiedy się ukazują nowe duchy: Cezarego Hallera, poległego o wolność Śląska i duchy Górnoślązaków, wśród których i Opolan. Zwołał ich, byłych powstańców, na to miejsce duch Cezarego Hallera po to, by im przypomnieć krwawą ofiarę, wzywa do czuwania nad odrodzeniem Ziemi niewyzwolonych, do wyzwolenia ich. Umacnia ich w tem także zjawa Wandy. One zaś ślubują posłuszeństwo wezwaniom. Do zgromadzonych zaś uczestników sobótki zwracają się następne zjawy Wandy i Cezarego Hallera, by wyteżyli wszystkie siły, by doprowadzić do wyzwolenia Śląska Zakordonowego. Odsłone kończy Duch Opiekunczy Śląska zapowiedzią:

...Ja siwowłosy księżę
znów Śląsk w całość związę.

1. Śląsk wolny nie zapomni nigdy o Śląsku Niewyzwolonym, nie ustanie w zabiegach i pracy nad połączeniem wszystkich części Śląska w całość — a ten moment później czy prędzej nastąpić musi.

Ten moment drugi jest szczególnie charakterystyczny dla całej twórczości śląskiej, czy to cieszyńskiej czy górnośląskiej: wiara w specjalną misję Śląska w stosunku do Polski, o prawo do supremacji nad Polską w tym sensie, że Śląsk stanie się kuźnią nowej Polski, ideału nowego Polaka. Wyżej wymienione tendencje stanowią nić przewodnią twórczości literackiej ks. Grima, a „Wandzie“ nadają specjalną siłę i powagę; czynią utwór ten pozycją godną uwagi w dorobku literackim już nie tylko Śląska, ale Polski. Tem też uzasadnia uczeń i przyjaciel ks. Grima, wydawca „Wandy“ — Jan Kuglin, zasłużony typograf, potrzebę i wartość utworu. W porównaniu z utworami dawniejszemi, zwłaszcza z poematami zbioru „Z nad brzegów Olzy“ i „Jasełkami“, artystyczna wartość „Wandy“ jest o wiele niższa, forma znacznie słabsza, miejscami wręcz niemożliwa, treścią zaś i kompozycją, dojrzałością myśli, tkwiącemi w utworze możliwościami (niewykorzystanemi) przewyższa „Wanda“ utwory poprzednie poety.

Postać Stalmacha pojawia się raz po raz w twórczości ks. Grima, ideały patriotyczne Stalmacha znajdują w tej twórczości żywy oddźwięk — a życie i działalność literacka ks. Grima realizuje je. Skorzystał też ks. Grim z stułetniej rocznicy urodzin Stalmacha i drugiego wielkiego patrioty śląskiego, Karola Miarki (obu wiązała długoletnia szczerza i ofiarna przyjaźń i współpraca), aby napisać utwór sceniczny p. t. „Dwa Orły śląskie” (1924). Autor zdaje sobie sam sprawę z tego, że

135

Ks. Grim reprezentuje w współczesnej literaturze śląskiej nieustannie czujne sumienie narodowe. Podobnie jak Stalmach całą swą działalnością rozbudzał i podtrzymywał polskość na Śląsku Cieszyńskim i walnie się przyczyniał do odrodzenia narodowego Śląska, tak ks. Grim swą twórczością literacką pragnie przyczynić się do ocalenia i utrzymania polskości na kresach niewyzwolonych. Przez swe utwory zwraca się zarówno do Polaków na Śląsku Opolskim i Karwińskim, jak i do rodaków w przyłączonym do Polski Śląsku. Tamtych błaga, by mowy i obyczajów swych ojców nie porzucali, przy polskości wytrwali, tych, by nie skąpili pomocy rodakom na obczyźnie. Twórczość początkowa ks. Grima wyrosła z tęsknoty, żalu nad utraconą ojcowizną (Karwińskie) i tu wznosi się autor na dość wysoki poziom artystyczny, zdobywa się na szczery i głęboki liryzm, gładki i potoczny w formie. W dalszej twórczości

akcent bólu zatracza się, by ustąpić miejsca świadomości misji patrystycznej, zrozumieniu, że nie skargi i jęki wyzwolą braci zakordonowych, ale nieustanna o nich pamięć, pomoc w słowie i w czynie, postawa czynna, czujność nieustanna. To też nawołuje już wprost do pracy nad utrzymaniem polskości ziem niewyzwolonych, szle rodakom zakordonowym słowa otuchy i wiary w szybkie zjednoczenie Śląska całego. W miarę jak twórczość nabiera znaczenia misji, siły przekonania, myśli dojrzewa i krzepnie, forma natomiast słabnie, ustępuje treści. Nie dorównuje ks. Grim pięknom poezji Jaroniowi, ani nawet Damrothowi, pod względem artystycznym stoi niżej od tych dwóch poetów górnośląskich niedawnej przeszłości. Rezultaty natomiast osiąga większe, widzi wcielenie swych pragnień, staje się przez poezję działaczem. Winą obniżenia formy artystycznej jest nieodpowiednia droga, jaką ks. Grim obrał dla swej twórczości. Forma dramatyczna, która miała torować myśli ks. Grima drogę do szerokiej publiczności, jest obca jego odczuciu, bo autor nie posiada żyłki dramatycznej, poczucia sceniczności, nie umie nadać życia swym postaciom. Forma, w której się ks. Grim dobrze czuje i w której osiąga znaczne rezultaty, to forma liryczna

i epiczna, niestety zbyt szybko porzucona przez autora, dla zupełnie nieodpowiadającej mu formy dramatycznej. Przyznać jednak trzeba, że i te utwory przez swą siłę emocjonalną, idealizm szczerzy i nie patetyczny, przez głębię uczucia oddziałują na czytelnika i słuchacza, osiągają zamierzony przez autora cel, wskutek czego mają zapewnione miejsce w literaturze śląskiej.

Nie można też pominąć milczeniem wartości regionalistycznej twórczości poety istebniańskiego. Ocalała część baśni góralskich, zebranych skrzętnie przez autora, odżywa piosnka, zwyczaj i ubiór cieszyńsko-śląski, odżywa piękno krajobrazu beskidzkiego, jest zachęta do twórczości na tem polu, apelem do pielęgnowania odrębności zwyczajów śląskich, obcy zaś czytelnik poznaje choć w skrócie rozmaite typy śląskiej ludności. Podkreślić jeszcze warto w końcu, że twórczość ks. Grima nie posiada nawet cienia fałszywie i separatystycznie pojętego partykularyzmu śląskiego. Autor myśli zawsze od Śląsku całym, o jego nierozzerwalnych związkach z Polską, o jego roli w Polsce i dla Polski, przez co twórczość poety z Istebnej wkracza w twórczość ogólnopolską i nosi znamię poezji narodowej.

Kornel M. Filipowicz.

Zapalniczka.

I.

Ranek był tak mroźny, że chuchanie strugą kłębiącej się pary było nader przyjemną zabawą. Podwórze brudne, kupami rozwłóczona słoma, garście pożółkłych gazet, no i wieczna kałuża wody koło kanału, koloru barszczyku zabielanego. Dziś pokryta chrząszczą pokrywa lodu.

Piekarz wytarł muskularne, bezkrwi-
ste, coś jak spód niebardzo wypieczonej
bulki ręce o błękitny fartuch i stanowczo

przekroczył próg warsztatu. Wywuchał nieznosny smród gnijących szmat i zapach zużytej wódki. Otworzył okno. Zimne powietrze naparło ostro na tępy zaduch i poczęło się zmagać z resztkami stęchlizny, umykającymi za piec i w kąty. Długą wnęką leżała nieca do rozczyniania ciasta. Pochylił się i począł zdrapywać zgłupia paznokciami zaschnięte na brzegu białe, kruche sople. Wpadł w nudę i złość. Rzucił obmaczonym ciężarkiem w okno.

omal nie rozbijając szyby. Trzasnął drzwiczkami od pieca, wreszcie stanął na środku piekarni w pozycji, mającej wyrażać głęboki namysł. W istocie tłoczyły mu się do głowy genialne historie. Ale rozbiło się o głupi, ordynarny smak kawy w ustach. Jeden codzienny smak, smaczek dobrze osłodzonej rannej kawy potrafił momentalnie zrzucić go do spraw: żona, dług u sklepikarza, kwaskowate pieluchy, jakieś sznury do bielizny. Zapadł się rozkosznie między te zgryzoty i do reszty zleniwił. Gruby zegarek z kieszeni obwieścił dziewiątą. Westchnął, wyciągnął się, wyrzucając i przyciągając ramiona, aż muskuły zafalowały mu pod rękawami. Potem gwizdząc przenikliwie na całą piekarnię smutną melodię, suwał długie deski do stawiania gorącego chleba...

Wszedł w tej chwili pomocnik. Człapał tak długo niedosznurowanemi butami, aż mu majster huknął: — Ubier za roz buty jak sie patrzy, bo cie szlag trefi. — Byłby odpowiedział napewno jakimś ironicznym uśmiechem w stronę majstra, ale niestety kaprawe oczy zawsze psuły mu wyraz twarzy. Miał co do tego już doświadczenie setki razy czynione z lusterkiem. Bez słowa protestu zasznurował buty i począł sypać biały pył mączny do niecy. Worek topniał i rozpływał się w rękach. Jasny tuman wzbił się z niecy pod powałę wraz ze szczerą zadumą czeladnika.

Maister zdębiał. Nie tak dosłownie, bo wycierał prawą rękę o fartuch, jakby się przygotowywał do walnej rozprawy. Ale nie rzucił ani hakiem, ani szczotką do smarowania bułek, tylko żałośnie zauważył: — Ty też mnie przyprawisz o działośćtwo, na mógłbyś uważać jako to sujesz te munke.

Czeladnik nalał wody i misił. Bulgocące ciasto przelewało się bezkształtną i plastyczną masą między palcami. Pękały z trzaskiem banie powietrza. Ciasto czepiało się tragicznie palców. Przyplaskiwał je, pobijał, zapuszczał się wgłąb i

odkrywał jakieś niedość wymyszone par-
tje. Więc znęcał się znów nad niemi.
Przypomniiał sobie, że ma ręce nieumyte,
puścił przeto na czerwone dłonie strumień
cieplej wody z kociołka. Wartko chlipo-
cząca woda nasunęła mu myśl, że należy
zagwizdać co. Gwizdał równie przeraźli-
wie, jak majster, ale zgoła inną melodję.
Gwizdali obydwa, jakby jeden o drugim
nic nie wiedział; majster tak cudownie
opanował ten kunszt, że choć raz po raz
wtykał głowę w olbrzymie drzwiczki od
pieca, przyswiewiacząc sobie przytem lamp-
ką, a potem wyciągał ostrożnie bokiem
czerwoną, spoconą twarz, nie przestawał
Owszem z podwójną energją podejmował
jakąś nową piosenkę. I tak dwie melodje
trwały wibrując, jedna spod pieca, druga
od kadzi z mąką. Czasem schodziły się
dwa dźwięki na płaszczyźnie dysonansu,
wtedy czuło się w uszach wierący, fi-
zyczny ból.

Przez niedomknięte drzwi wsunęła głowę żona i zawołała:

— Ty, Ernest, skocz do izby, bo Meda strasznie beczy, a ja muszę lecieć po prosię z manglowaniem.

Umył ręce, na odchodnem rzucił groźnię: — Stodwacet kasków na dziś'o, z kasarni bierom.

Czeladnik przyjął to do wiadomości i misił z większą zawziętością, dopóki chodaki majstra nie stały się tylko przykrem wspomnieniem po zatrzęsniętych drzwiach. Z ulgą otrzepał ręce od ciasta. Patrzył teraz przez polepione gazetami okno na podwórze, gdzie dyplomatycznie stapały kury. Przyrównał zaraz ich śmieszne sylwety do lokomotyw. Zdawało mu się to bardzo trafne. Potem zauważył na skrawku gazety dwóch młodzieńców o ciemnych czuprynach i skośnych baczkach. Trzymali w rękach pochyło karabiny. W dole napis: Znów rozruchy na Kubie. — Tam to się pierom — pomyślał z uśmiechem. Przypomniął sobie rewolwer, troskliwie chowany w rekruckiej

wypustka w skrzydełku klucza. Znów piłował. Powiedzieć czy nie powiedzieć majstrowi, że pilnik zapchany ołowiem czy cyną nie chce wcale chwycić? Majster ryknie: Jo nie zaćpoł. Całkiem nie dwuznacznie. I jeszcze łokieć majstra w boku, napewno w boku, bo majster tak lubi. A wczoraj widział na własne oczy, jak majster wykańczał nim kawałek rury wodociągowej. Wystarczą zaczerwienione koniuszki uszu i pociąganie nosem. Majster wie, że uczeń już za dużo przypiłował. Powoli opuszczał oglądaną pod światło ramę od roweru, aż oparł się na niej i zaczął patrzeć na śrubsztak z nieszczęsnym kluczem.

Gdyby uczeń wiedział, że majster nie widzi w tej chwili jego chodzących rąk z pilnikiem, gdyby wiedział, że ślusarz budowy maszyn, pan Jan Skupień, bezmyślnie rozproszył wzrok po śrubsztaku, pilnikach, durszlagach i liczył tylko, w myśli: Trzyset dwaaa, — no to nie będzie, ale pińć a sztyrycet albo sześć a sztyrycet...

Uczeń piłuje i piłuje. Uszy go nieznacznie pieką. Łzy są suche jak piasek i nie w oczach, tylko gdzieś w gardle.

Palce maistra dobrze widoczne (z grubymi, wypukłymi, mocnymi paznokciami), oparte na ramie od roweru.

Zapaść się teraz chytrze pod podłogę.
A może majster mu przyłoży jakim
młotkiem po głowie.

To byłoby najlepiej — odrazu.

Czuje prawie łomot żelaza po czaszce.

Skrzydełko klucza nie wytrzymało obrachunków majstra, trzęsło się tragicznie na ostatniej niedopilowanej reszcie żelaza, cienkiej jak papier. Szurgot pilnika wolniej. Niema po czem.

— Dzieńdobry, panie Janku.

— Dzieńdobry, panie Władku.

Majster wyciera skrupulatnie rękę i podaje jeden palec najelegancji. Nie wie napewno, że to jest takie niesamowite, a przytem dziwnie smutne potrząsać czymś małym palcem.

— Panie Władku, przepraszam, że o
tylko tak, ale ten romek...

W jasnym rogu ślusarni między sztancką a drebankiem rozstrzygają się teraz sprawy białej kartki ze szkicem.

Dwa ciała pochylone nad startym z tłustych opilek blatem. Powypychane kieszenie majstra i wcięta marynarka pana Władka są teraz w rogu pracowni między drebankiem a sztancką.

Byczy kark majstra z pączkującymi skrofulami i starymi bliznami, pociętymi na krzyż jest zupełnie nieszkodliwy: w rogu między sztancką a drebankiem.

Można skorzystać, wyrzucić stary spaskudzony klucz. Nowy pali się po prostu w rękach.

— Tu trzeja bydzie z dwumilimetrowego...

— Jak pan uważa, wydaje mi się, że to za grube. Niepotrzebne przecie podstawka trzyma.

— Jo wiem, ale jak sie już co robi...

— Swoją drogą...

Z podwórza dolatuje turkot małego ręcznego wózka po nierównych kamieniach. Antek od piekarza jedzie do miasta po „Ceres“. Umyślnie tak pomadu wytacza wózek, żeby jechać kółkami wprost po sercu swojego przyjaciela ze ślusarni.

— Majster!

Między sztanką a drebankiem mówi się właśnie o tem, że Pan Skupień lubi sobie w sobotę wyjechać do ojców, do Nierodzima. No naturalnie, z żoną i córeczką. Pan Władek tak jakoś biednieje w tem mieście, możeby kiedy razem. Na przykład w najbliższą sobotę. Ojciec hoduje króliki. Zdaje się, że pan Władek też lubi króliki? Nawet jeszcze stoi na podwórzu taki domek, co pan Władek dawno zrobił dla królików.

Ach, Antek kupi w mieście kamienie do zapalniczki i będzie ją próbował przed samymi oknami ślusarni. Sto razy. Zapalał i gasił, zapalał i gasił...

— Majster!!

Między sztancką a drebankiem rozmowa oddala się od borwiny. Majster zdołał się dowiedzieć, że Władek lubił króliki, ale to kiedyś, teraz owszem też, ale woli naprzykład ryby łapać. Pstrągi. Na muszkę. Pstrągów jest w Nierodzimiu bardzo dużo. Ale coraz mniej od czasu, jak zaczęli pola nawozić chemicjalnymi. Raków też coraz mniej. Pan majster ma stary flobert, możnaby poobczyszczać i przerobić? Tylko że matka ma takie słabe serce, byle co ją denerwuje. Kiedyś znalazła u niego niewystrzelony austriacki nabój. Niema co robić z tego tajemnicy, cały dom wie. Na pana Władka to wszystko robi wrażenie jakiegoś wadliwego ustroju. Czasem zacznie się od całkiem drobnej, błahszej sprawy: kapusta włoska, czy tam za zegarek w naprawie.

Pan Skupień rozumie, przecie jest też żonaty. Wzdycha nawet w chwili, gdy się mówi o drobnych sprawach.

Zamilkli na moment, bo rozmowa
wyblakła i rozleciała się nieporadnie.

Zato deszcz począł padać. Krople drżały rosnąc na szybie, łączyły się różnie, ściekały krętymi korytarzami, aż na popękany kit. Przez lśniące podwórze przeleciała Franka z kubłem na węgiel i narzuconą na głowę wytartą ceratą. Ociekająca wodą stanęła w drzwicach ślusarni i powiedziała, że kawa stygnie.

3.

Właściwie nie wiadomo, kto pierwszy zauważył, jak auto ratunkowe zajęchało przed dom. (Bo kiedy Antek od piekarza wracał z „Ceresem“, to aż szofer musiał cofać trochę karetkę, nie można było zajechać w bramę. Ale to było później.) Zdaje się jednak, że to właśnie ci dwaj od szewca pierwsi. Bawili się puszczeniem czółenek na walącą w rynsztoku wodę. Potem jakiś pan z pieskiem przystanął służąca z kupioną cykorja, sierżant, fryzjer z rogu. Pan z pieskiem zadziwił wszystkich. Osobiście poinformował się u nawpół śpiącego szofera jak i co. Dość niechętnie nachylił się w stronę cisnącego

się gwałtownie rzeźnika: Co je, kiery? Ktoś u Friedbenów. Ach ci stale nie dopłacali rachunków za mięso.

Szpaler od karetki do bramy rósł. Przechodzący policjant (wprawdzie nie w służbie) uważał za swój obowiązek dopytać się, czy to Kubaloków jakie nie-szczęście nie spotkało. Ludzie stali solidarnie, gwarzyli półgłosem, nie przepędzali dzieci, które pchały się gdzieś koło butów do środka i nie śmiali się nawet z aplikanta sądowego w śpiczastym kapeluszu. Tak ich wszystkich związała powaga chwili i zapach z otwartych drzwiczek karetki: wygłańczonych ławek wagonu trzeciej klasy i xeroformu...

Doprawdy pan Skupień był bardzo ciekaw zobaczyć, jak będą wynosić Friedbenową do karetki. Stał, opierając szeroko ramiona o odrzwia i niecierpliwił się. Za jego plecyma uczeń daremnie starał się naciągnąć szyję. Popłakiwał już nawet trochę. A to jest takie interesujące, to się musi widzieć, tak jak się musi widzieć orkiestrę wojskową w niedzielę, albo policjanta, który zapisuje woźnicę, bijącego bezlitośnie konia. Tymczasem z piekarni patrzą. Antek od piekarza trze kciukiem swoje kaprawe oczy. Piekarz i jego uczeń stoją teraz w najlepszej komitywie. Zatluczone mąką ubrania i fartuchy, cali przysypani mąką, włosy. Z tyłu możnaby ich wziąć za parę niegrzecznych, obwalanych dzieci. Twarze jednak mają stare, nabrzmiałe i bez wyrazu. Na zaroście trzyma się lekki szronek mączny. Pan Skupień już dwa razy zmieniał pozycję ręki. Czekał z innym wyrazem twarzy, mocnym, ciekawym i inteligentnym. Przechyliła głowę ku tyłowi i lekko mruży oczy w zrozumieniu. Może chytrze.

Uczeń za plecyma już zrezygnował. Zdesperowany z wilgotnemi oczyma błąka się po pracowni. Wreszcie zainteresowuje go nowa maszynka do nacinania gwintów. Widać majster kupił niedawno. Ale czemu jej prędzej nie widział? Piekarze trwają wciąż w tej samej pozie. Teraz to już wygląda całkiem głupio.

Całe podwórze wie, że nosze będzie widać trzy razy w czasie transportowania ich przez klatkę schodową. Bo na podwórze wychodzą trzy okna, z drugiego piętra, pierwszego i parteru. Cała niedogodność w tem, że nie wie się tego, co się dzieje na schodach.

— Ó! O! niesom!

Rzeczywiście w oknie na drugim piętrze ukazał się naprzód człowiek z rękoma w tyle, potem nosze (z garbkiem szarego koca), a potem człowiek z rękoma z przodzie. Pochylony stary Friedben. Gdzie młody? Wreszcie Franka. Wszystkich uderzyło, jak dziwnie pochyło idą te nosze. Aha proste. Bo to po schodach, więc jeden wyżej, a drugi niżej. Przez tę małą chwilę, jaką smutny pochód potrzebował do opuszczenia się na wysokość pierwszego piętra, ślusarz patrzył chytrze na piekarzy, a piekarze idyotycznie na niego. Przecie na ścianę nie będą patrzeć, a tamci pokażą się dopiero na pierwszym piętrze. Wreszcie. To samo, ludzie z pogotowia, nosze. Franka. Stary Friedben idzie tym razem z Kubalokiem. Kubalok ma opuszczoną głowę, a ręce skrzyżowane na pępku. Znów pauza. Piekarzy zaczyna to nudzić. Eh, tylko tyle, co się zobaczy przez trzy okna. Pójść do bramy nie wypada. Tam jest miejsce dla innych. Pan Skupień natomiast rekonstruuje sobie mądrze: schodzą teraz koło szafek śpiżarnianych, wychodków, poręczy, no i po-

winni być już na parterze. Są. Tylko że skądś wziął się młody Friedben. Przeszedł dość prędko i to jeszcze wpół plecyma do okna.

Doleciał gwar z bramy.

Na spasionem niezdrowo obliczu piekarza maluje się rozczarowanie, takie, jak gdyby biednemu garbuskowi od szewca z naprzeciwka kto odebrał zabawkę. Ślusarz maca lekko palcami swoje skrofuły na karku i idzie do warsztatu. Motor dwa razy charkocze (nie chwyta, więc jeszcze raz), odjeżdża. Pachnie świeżo rozkwitły w ogrodzie bez. Podwórze podrycha przyjemnie płatami. Franka już opowiada piekarczowi: ...no i wynosili ją przez kuchnię. Jakoś tak nieostrożnie szturknęli noszami w kredens, że aż róg odleciał. Pani się podniosła: Ależ tu wszystko u nas musi iść za skaraną godziną. Zostaw, Władek to naprawi. On umie. Ale gdzie jest Władek?

Powietrze jest świeże, jak zwykle po deszczu. Papa na dachach też podsycha. Antek ze ślusarczykiem oparli się o mur i oglądają zapalniczkę.

— Już mi fajercojk świyçi.

— A benzyna mosz?

— Grunt je kamiyń; kupilech w mieście.

— Pokoż.

Próbują. Jakie to proste, wystarczy palcem nacisnąć kółko, a małeńki snop ostrych iskerek spada na benzyne.

Wartości kulturalne Śląska dla Polski.

(Przémówienie, wygłoszone na obchodzie 40-lecia śląskiego Stowarzyszenia akademickiego „Znicz”
w Cieszynie dnia 15 września 1934 roku.)

Wśród rozmaitych typów zrzeszeń społecznych, organizacje akademickie wyróżniają się jednym cennym a miłym przywilejem, — tem, że są stale młode, czerpiąc wciąż nowe zasoby ducha młodzieńczego z młodocianych serc i umysłów swych uczestników.

Tą świeżą krasą młodości jaśnieje także i dziś nasz cieszyński „Znicz“, choć doszedł do poważnego męskiego wieku lat czterdziestu. Jużci nie mogą się w tej chwili obronić przyływowi serdecznego wzruszenia ci z nas, co jak ja, pamiętają z dzieciństwa swego czcigodnych przedstawicieli starszego pokolenia działaczy polskich na Śląsku cieszyńskim, przed czterdziestu laty radośnie patronujących powstaniu „Znicza“, a dziś bez wyjątku spoczywających w mogiłach. Z rozrzewnieniem też patrzą po sobie zebrani dziś dawni „Znicza“ członkowie z pierwszych lat jego istnienia, czytając w swych obliczach tę kronikę przeżyć, jaką w nich niezatartemi rysy wypisał czas przez te długie i nieraz ciężkie lat dziesiątki od szczęśliwej wiosnianej doby życia. Czytają też tę kronikę dziś z przejęciem po murach i ulicach starego rodzinnego Cieszyna i zdumiewają się nad obfitością i ogromem zmian, których ten właśnie okres w nim dokonał. Zdają sobie dziś doskonalej może niż kiedykolwiek sprawę z tego, jak bardzo dalekim jest nasz dzisiejszy Cieszyn polski, ten bastion kresowy odrodzonej Rzeczypospolitej, od austriackiego Cieszyna z roku narodzin „Znicza“.

Ale wszakże wszyscy ci goście jubileuszowi ze swemi poważnemi refleksjami, to tylko tło, to tylko chór dla czołowej grupy aktorów: dla tej naszej ukochanej młodzieży dzisiejszej, co skład żyjącego

„Znicza“ w chwili obecnej stanowi i jubileusz swego stowarzyszenia obchodzi po prostu jako jedną z jego różnych w ciągu roku imprez społeczno-towarzyskich, imprez zawsze tak znamienicie ożywiających zaciszną atmosferę naszego piastowskiego zakątka.

Dla tych najważniejszych uczestników dzisiejszej uroczystości czterdziestolecie „Znicza“ może i powinno być tylko chwila nawskroś radosną; cyfra przebytych przez organizację lat innych w nich uczuć nie budzi prócz rzeźwej ufności w przyszłość, której te czterdzieste urodziny są rękojmnią i której droga, nadzieja ośmieniona, długim pasmem się rozciąga przed nimi i przed towarzystwem.

Ale i dla tych młodych przyjaciół naszych obchód jubileuszowy musi mieć w sobie tę powagę, że jest sposobnością do rachunku sumienia organizacji, do zastanowienia się nad niespełnionymi jeszcze zadaniami i do ściślejszego tych zadań określenia.

Dokonania, które w swych czterdziestoletnich dziejach pochwilić się może „Znicz“, są niewątpliwie okazałe. Rola, jaką wśród innych stowarzyszeń odegrał w dziejowym procesie odrodzenia polskość na Śląsku, jest poważna; a stanowisko, jakie zajmuje w życiu organizacyjnym młodzieży akademickiej po wszechnicach Polski niepodległej, jest niepoślednie.

Ale dziś zadania odbudowy świadomości narodowej z czasów niewoli i podziałów Polski należą już do przeszłości; a funkcje wzajemnej pomocy koleżeńskiej, zawsze intensywnie przez „Znicze” pełnione i w obecnej dobie kryzysu szczególnie doniosłe i rozległe, nie

kresową, broniącą rdzennej Polski od napści, najazdu lub zalewu ze strony zachodniej; ale jak przystało na strażnicę graniczną, jest także posterunkiem obserwacyjnym, pożytecznie służącym celom pośrednictwa w stosunkach kulturalnych. Nie potrzebujemy się na Śląsku ani wstydzić ani zarzekać tego, że w wielowiekowych zmaganiach z naporem żywiołu niemieckiego nauczyliśmy się od naszych przeciwników niejednego, tak samo jak Poznańczycy lub Pomorzanie. I możemy tylko pragnąć, by w stosunkach z naszym najbliższym słowiańskim sąsiadem od Zachodu stare spory i nowe skargi rychło mogły zniknąć z powierzchni, by ustąpić miejsca owocnej wymianie twórczych pomysłów i społecznych doświadczeń. Gdy warunki po temu będą stworzone i gdy to nastąpi, niema wątpliwości, że w tych stosunkach pokojowych z Czechami Śląsk polski znowu, jak przed wiekami, ważną i żywotną odegra rolę.

Obok pożytków kulturalnych, wynikających z kresowego położenia ziemi śląskiej, drugą podstawą jej odrębnej wartości wśród prowincyj polskich jest jej swoista struktura społeczna. Tutaj i tylko tutaj w Polsce nowożytnej nasza kultura narodowa rozwinęła się bezpośrednio na podłożu czysto ludowym, gdy wszędzie indziej szlachta ziemska była wzorem i źródłem nauk dla innych warstw społecznych. Tylko na Śląsku hufiec przodowniczy nowoczesnej inteligencji polskiej powstał wyłącznie i całkowicie z synów chłopskich. Ten demokratyzm śląskiej społeczności polskiej nie tylko nadaje osobny ton całej śląskiej polskości, ale znamienicie potęguje rolę Śląska jako łącznika między rdzenną Polską z jej rycersko-szlacheckimi tradycjami, a Zachodem Europy z jego demokratycznym nowożytnym rozwojem kulturalnym.

Na trzeciem wreszcie miejscu wśród odrębnych walorów Śląska polskiego wy-

mienmy to, co się w swych przejawach materialnych najbardziej rzuca w oczy, t. j. jego specyficzną strukturę gospodarczą. Gdy cała wyzwolona Polska na naszych oczach wśród przeróżnych przeszkód z trudem do tego dąży, by z kraju przeważająco rolniczego stać się krajem o typie mieszanym, przemysłowo-rolniczym, jak to usprawiedliwiają i wręcz wskazują bogactwa przyrodzone ziem polskich, — to Śląsk jeden wśród tych ziem przedstawia już w stanie gotowym połączenie przemysłu z rolnictwem w jednym dzielnicowym organizmie geograficznym i socjalnym. Obraz tego skojarzenia i tej równowagi między postępowaniem rolniczym a przemysłowym zawdzięczamy włączeniu do nowego Państwa Polskiego obu tych połaci starej ziemi śląskiej, które, dawniej rozdzielone kordonem między-zaborowym, dziś tworzą nasze województwo śląskie. Łączność między Śląskiem katowickim a Śląskiem cieszyńskim stwarza nastrój prowincjonalny, mogący być wzorem dla całej reszty Polski i tylko od harmonii między obu temi częściami naszego Śląska, a więc od wysiłku dobrej woli ich mieszkańców, zależy, by ten ustrój naprawdę stał się skutecznym przykładem dla przyszłego rozwoju całego naszego Państwa pod względem społecznym i gospodarczym.

4.

Przytoczyłem główne momenty, w których streszcza się odrębna wartość Śląska w zespole kulturalnym naszego życia państwowego. Zrozumienie, że ta wartość jest wysoka, że należy ją zgłębić, dokładnie określić i społeczeństwu polskiemu w całej pełni uprzytomnić, — zrozumienie to natchnęło już pięć lat temu myśl uczczenia 35-lecia „Znicza” przez okazały tom cennych przyczynków naukowych do historii i etnografii Śląska polskiego, wydany pod tytułem „Księga o Śląsku” (Cieszyn 1929). W przedmowie do tej okazałej i poważnej książki stwier-

dzono, że ideologia dzisiejszego „Znicza“ sięga „korzeniami swymi w zdrowy i silny dziś prąd kulturalno-umysłowy, zwany regionalizmem“.

Od czasu, gdy te słowa były napisane i książka pod ich hasłem powstała, ruch regionalistyczny w Polsce niepowstrzymanie się dalej szerzył i pogłębiał. W studjowaniu i pielęgnowaniu dawnych i nowych właściwości kulturalnych i obyczajowych każdego z osobna historycznego obszaru plemiennego w Polsce widzimy dziś jeden z najcelniejszych środków ożywienia duchowego całych przestrzeni naszej prowincji i pobudzenia ich do czynnego współudziału w twórczości kulturalnej całego naszego odrodzonego Państwa na arenie światowej.

Pan Aleksander Patkowski, redaktor wspaniałego wydawnictwa regionalnego „Pamiętnik Świętokrzyski“ (Kielce 1931), świeżo przez wielki wysilek organizatorski wzbogacił naszą literaturę naukową prawdziwie pomnikiem dziełem zbiorowym, którego pozadrość nam może każdy inny naród w Europie. W dwóch okazałych tomach pod tytułem „Ruch regionalistyczny w Europie“ (Warszawa, Nasza Księgarnia, 1934), zebrany jest w szacie polskiej szereg studiów najważniejszych przedstawicieli idei regionalizmu w całym świecie europejskim od Szwecji i Danji do Hiszpanji i Włoch, i od Anglii i Francji do Niemiec i Rosji. Otrzymujemy przebogaty w cenne i ciekawe szczegóły obraz imponującej potęgi tego ruchu, jego powszechności i jego wręcz żywotnego znaczenia dla dorobku kulturalnego i fizjognomji cywilizacyjnej najoświecenijszych narodów świata współczesnego, zarówno wielkich jak małych.

Z taką panoramą przykładów i nauk przed sobą i my dziś uczynimy dobrze, jeżeli na tej naszej skromnej uroczystości lokalnej wznowimy postanowienie, by śląskie stowarzyszenie akademickie „Znicz“ było i nadal ośrodkiem kultury regionalistycznej śląskiej, ośrodkiem pełnych miłości studjów nad poznaniem i rozwinieniem walorów Śląska dla Polski. „Znicz“ nigdy nie uprawiał ciasnego i zaślepienego separatyzmu dzielnicowego; zarówno w czasach zaborczych i w wolnej Polsce zawsze był wybitnym organem łączności młodzieży śląskiej z całością życia duchowego Polski, łączności wytwarzanej i wzmacnianej przez pozycie koleżeńskie dawniej głównie na gruncie Uniwersytetu Jagiellońskiego, a dziś po wszystkich wszechnicach odrodzonej Polski.

Daleki i teraz od wszelkiego prowincjonalizmu politycznego, stojący zwartym hufcem wiernie i karnie pod wspólnym sztandarem państwowości polskiej, „Znicz” państwowości tej najlepiej się przysłuży i najsukuteczniej wzbogaci jej treść duchową, jeżeli będzie krzewił w swoim łonie i szerzył wokół siebie coraz głębszą i rozleglejszą znajomość tych jedynych i wielkich wartości, które ziemia śląska wniosła w dobytek cywilizacyjny naszej wskrzeszonej Rzeczypospolitej. Na podstawie takich studjów nad walorami regionalistycznymi Śląska najpewniej też wyjdą z grona dzisiejszych członków śląskiej organizacji akademickiej nowi, twórczy walorów tych pomnożyciele, czego dla chwały kultury polskiej najgoręcej pragniemy i „Zniczowi” dziś w dzień jego jubileuszu z całego serca życzymy.



Jakże przedstawiają się dalsze losy Pawlitki?

Dowiadujemy się o nich ogólnikowo z późniejszego kupu. Oto Pawlitko wygrał ostatecznie sprawę na całej linii. Jakimi drogami szła dalej jego sprawa, nie wiadomo. Dość, że Pawlitko na łące „Dolina w Groniku” pozostał, dom, stodołę i szopę odbudował, użyłszy w roku 1796 pozwolenie nie tylko na tę odbudowę, lecz i na wypasanie, obok 10 owiec, 2 krów i 1 cielęcia. Pomogło mu może i to, że jeszcze za życia oddał włość swoją synowi Andrzejowi, a gdy ten wcześniej umarł niż ojciec, odziedziczył ją wnuk Jerzego Pawlitki czyli syn Andrzeja, Paweł i matka jego, Zuzanna. Potomkowie dzielnego Jerzego Pawlitki przebywali w Wiśle do czasów przedwojennych. Jakoś krótko przed wybuchem wojny światowej przenieśli się dziwnym zbiegiem okoliczności tam, gdzie Komora już w 18 wieku ich praojca chciała przesielić — do Harbutowic. Tam żyją do dziś.

Franciszek Popiołek.

Groby Piastów Cieszyńskich.

W roku 1290, wskutek podziału księstwa opolsko-raciborskiego, powstało osobne Księstwo Cieszyńskie, połączone narazie z Oświęcimskim. Książę Mieszko osiadł w Cieszynie. Tu musiał sobie zbudować zamek na siedzibę doczesną i postarać się o miejsce dla chowania zmarłych książąt. W XIV lub najpóźniej w XV wieku powstał zamek (zbudowany może przez Przemka II) w stylu gotyckim, na wzgórzu, gdzie już była kaplica, wystawiona może przez pierwszych mieszkańców Cieszyna, Benedyktynów, w stylu romańskim, — najstarszy kościół na Śląsku Cieszyńskim. Zamek ten uległ kilkakrotnie pożarowi, najpierw w roku 1484, potem w roku 1552, przez który zostały także prawdopodobnie zniszczone najdawniejsze dokumenty, wreszcie w roku 1603, ale został odbudowany nie-

Przy końcu wojny 30-letniej został zamek cieszyński wraz z miastem zajęty przez Szwedów, których w następnym roku (1646) usunęli stąd Austriacy. Podczas kilkomiesięcznego oblężenia został zamek poważnie uszkodzony, a księżna Elżbieta Lukrecja nie była w stanie odbudować go. Po jej śmierci (1653) i wygaśnięciu z nią Piastów cieszyńskich, Księstwo Cieszyńskie objęli Habsburgowie, którzy w Cieszynie nie przebywali, cho-

¹⁾ O zamku cieszyńskim pisałem w „Zeitschrift für Gesch. u. Kulturgesch. Oesterr. Schl.“, 1910/II, zeszyt 3—4, str. 124.

W czasie reformacji (1544) zakonnicy, których było około 30, musieli opuścić klasztor, który oddano duchownym protestanckim i przenieśli się do Oświęcimia, ponieważ klasztor należał do prowincji polskiej, jakkolwiek zakonnicy byli prze-

³⁾ Schickfus J. (Neuvermehrte schles. Chronick, str. 121) podaje datę założenia klasztoru w roku 1272.

W podziemiach kościoła Dominikanów cieszyńskich chowano zmarłych książąt cieszyńskich z rodu Piastów. Doświadczamy się o tem z oświadczeń samych książąt. Adam Wacław pisze w dokumencie, przywracającym Dominikanów (1613): „Dajemy i przywracamy na wieki pobożnym zakonnikom, zwłaszcza czcigodnemu zakonnikowi Ojcu Janowi Chryzostomowi, Doktorowi św. Teologii, obecnemu prowincjałowi polskiej prowincji tego zakonu i zakonnikowi Ojcu Janowi z Bochni (Bochnensi), przeorowi naszemu cieszyńskiemu⁴⁾ i całemu

⁴⁾ Ojciec Jan przybył tu prawdopodobnie z Bochni, gdzie był klasztor Dominik., stąd Bochnensis (Ks. Sadok, Barącz, Archiwum OO. Dominik. w Jarosławiu, Lwów 1884).

Wacław hr. z Tęczyna, namiestnik cieszyński (1727), ale widocznie nie wszystkich członków rodziny tam chowano.

Miedzy znalezionymi przy poszukiwaniu grobów piastowskich zabytkami znajduje się też tabliczka z napisem, odnosząca się do mieszczanina cies. Henryka Heymanna, sekretarza niemieckiego, z roku 1703¹⁴⁾.

W kościele tym pochowano również Szwedkę Sirid Brahe, spokrewnioną z rodem królów szwedzkich, która razem z mężem hr. Janem Gilnsterny, uciekając przed Karolem Sudermańskim „tyranem i zarazą ojczyzny, a idąc za prawowitym królem“ (Zygmuntem) przybyła do Krakowa i tu umarła (r. 1608), stąd zaś, prawdopodobnie ze względów religijnych, przewieziona została do Cieszyna (kościół dominikański był wówczas w rękach protestantów). Przy szczątkach jej trumny (drewnianej) ze śladami aksamitnego obicia znaleziono, podczas szukania grobów piastowskich, 2 tabliczki srebrne z napisami, jedną, pozłacaną, z napisem w języku niemieckim, drugą z napisem łacińskim, oraz herb i kawałki krzyża pozłacanego¹⁵⁾.

Książąt cieszyńskich chowano niewątpliwie w trumnach metalowych, mie-

dzianych lub cynowych, przyczem wkładano im do grobu różne cenne, ulubione za życia, przedmioty. Można o tem wnosić tylko z tej okoliczności, że żadnej trumny książęcej nie znaleziono, oraz z analogji.

Wiemy o trumnach miedzianych niektórych właścicieli ziemskich. O Lariszu pisze ks. Szersznik, założyciel muzeum, w notatce przytoczonej poprzednio. Protokół wizytacji kanonicznej z roku 1719 wspomina o 2 trumnach miedzianych w Grodźcu, jednej pozłacanej, ozdobionej lwami również pozłacanymi i o zwyczajnej miedzianej w Bielowicku¹⁶⁾.

Jeżeli zatem niektórych ze szlachty chowano w trumnach metalowych, to tem bardziej musi się przyjąć, że zwierzchnicy tej szlachty sprawiali dla zmarłych swoich poprzedników trumny metalowe, zwłaszcza że w Cieszynie samym, słynącym ze zręcznych rzemieślników, byli tacy, którzy pracowali w cynie lub miedzi¹⁷⁾.

Do podziemia kościoła Dominikanów dobierano się wielokrotnie przy przeprowadzaniu robót restauracyjnych, po pożarze z r. 1789 i później, potem przy zakładaniu kanału wentylacyjnego i zaprowadzaniu oświetlenia gazowego. Ostatnie roboty przeprowadzał budowniczy ka-

¹⁴⁾ Pisze o tem „Silesia“ z dnia 19. VI. b. r. p. t. Die Erforschung der Vergangenheit Alt-Teschens.

¹⁵⁾ Napis brzmi: D. O. M. Illustrae Magnificae Dominae Sirye vetustissima clarissimaque Familia Braorum comitum in Wisingsborg utroque parente ex regum stirpe in Regno Sueciae prognatae Illustris et Magnifici Domini Joannis Gilnsterny liberi baronis in Lundholm et Fuglewick in eodem regno antiquissimae et praeclarae familiae pudicae et concordissimae coniugi quae una cum viro Carolum Sudermanum tyrannum et patriae pestem devitans iustum vero regem legitimumque sequendo moritur exul aequo animo sperans certissima fortunae suae a Deo praemia Cracoviae die XXV mensis Augusti anno M D C VIII aetatis suae XLI. Przedmioty znalezione są w muzeum miejskiem. Pisała o tem znalezisku „Silesia“ z 29. V. 1934 p. t. „Ein interessanter historischer Fund“ i Szwed Fellenius w „Stockholms Dagblad“ w art. p. t. Fynd i polskt kloster.

¹⁶⁾ Notatka ostatnia brzmi: „Comparuit ultimo Andreas Rojczik vitricus ex Bilowiczko referendo, quod ante octo annos habita licentia a Rmo officio tumba cuprea in Ecclesia Bilowicensi Skotzowium spectante levata et 11 Thaleris divendita fuerit, de quibus Commissarius Twaruska 6 Thaler. Ecclesiae dedit, 5 autem post se retineat et ab eo monitus, respondit, Parocho eos exsolvisse, quos tanen Parochus dicit, se non accepisse.“ Notatka ta zawarta jest w „Copia ex protocollo visitationis anni 1719“, pag. 247—261, przechowanej przez właściciela Grodźca, Bielowicka i Roztropic p. Habichta.

¹⁷⁾ Piszą o tem w Zeitschrift f. Gesch. und Kulturgesch. Oesterr. Schl. 1900/11, zes. 3—4, str. 128, inż. W. Karger: Notizen vom Teschner Kunsthandwerk; Dr Braun: Zwei figurale Teschner Zinnarbeiten vom Ende des 17. Jahrh., zes. 1, str. 28 i mój art. p. t. Einige Notizen über Teschner Kunsthandwerker, zes. 2, str. 64.

meralny Albin Teodor Prokop, ponieważ patronem kościoła była w dalszym ciągu Komora. Spostrzeżenia swoje umieścił w „Silesii”⁴¹⁸. „W tutejszym kościele parafjalnym (dawniej Dominikańskim) — pisze tenże — było podobno przedtem wiele kamieni grobowych i płyt nagrobkowych (Gruftdecksteine), włączonych między nieregularne płyty podłogi, które podczas wykładania podłogi regularnymi płytami marmurowemi zniknęły zupełnie.

Krypta z grobami Piastów leżała pod prezbiterjum. Przy kopaniu kanału wentylacyjnego znaleziono kości i szczątki trumien, pomalowanych na zielono i ozdobionych okragłymi, złożonemi gwoździami miedzianemi.

W nawie kościelnej natrafiano przy robotach restauracyjnych wszędzie na małe murowane grobowce (Grüfte), a także podczas zaprowadzania oświetlenia ga-

¹⁸⁾ „Silesia“ z 15. VIII. 1909, art. p. t. Betrachtungen eines Müßiggängers.

zowego znaleziono również trumnę zielono pomalowaną, ozdobioną pozłacanymi gwoździami. Gwoździe tworzyły napis, oznaczający osobę tam pochowaną, lecz niezręczny robotnik przycisnął wielko trumny, przez które można było zobaczyć toaletę damy z pierwszego dziesięć lat wieku XVIII. Z tem zgadzały się ułamki napisu: 1733, Graef." Napis odnosił się do hr. Prażmowej.

Prokop nie wspomina nic bliższego o krypcie piastowskiej. Widocznie go ta sprawa nie interesowała. W archiwum zamkowym w Cieszynie biegną przez szereg lat następnych akta zatytułowane: Kirchenbau-Konkurrenz-Komitee, wymienione w repertorium, ale ich nie mogliśmy odszukać. O obecnym stanie sprawy grobów piastowskich powie nam następne sprawozdanie, oparte na gruntownym przeszukaniu kościoła¹⁰).

¹⁹⁾ O poszukiwaniu grobów i rezultatach tegoż pisano też w „Deutscher Grenzbote“ z 26. VIII. 1934.

Gustaw Morcinek.

Koński czerep.

Naszego Fuksa także nam zasypało.

A gdyby nie on, możebyśmy wszyscy legli pod obwałem. On pierwszy spostrzegł, co się dzieje. Na drobną chwilkę przed naszą ucieczką patrzyłem jeszcze na niego. Stał nieco rozkroczony, głowę śmiesznie przechylał jak kogut, kiedy krogulca wypatruje, uszami strzygł niespokojnie i chrapał.

— Cóż tam widzisz, Fuks? — chcia-
łem zapytać. Lecz nie zdążyłem. Fuks
znienacka zarżał jakimś dziwnym zduszo-
nym kwikiem, a potem skoczył naprzód.
W wyłupiastych ślepiach szkliło się prze-
rażenie.

Nie zdążył umknąć. Dwanaście próżnych wagoników, które był przywłókł do filaru, zatrzymały go na uwiezi.

Ludzie zaś, moi najmilsi kamraci, umknęli. W ostatniej drobince czasu. Jedni tam, drudzy do filara. Wszyscy bowiem dojrzelі tę samą śmierć, którą Fuks pierwszy zauważył. Zaledwie zdolałi skoczyć kilka kroków, stało się.

Jakby nie jeden piorun, lecz setka piorunów, razem splecanych, trzasnęła koło nas. Jakby całe niebieskie sklepienie załamało się zniecacka i runęło z wyciem przed człowieka. Potworny ryk burzy rozpruł ciszę, skłębził się, skołtunił i spiętrzył do ostatnich granic. Stałem się jakoby drobniauchnym pyłkiem, zdmuchniętym w niezgłębioną przepaść. W ostatnim odruchu samoobrony zakryłem ramionami głowę. Oczywiście miałem otwarte. Widziałem jeszcze zmierzwiiony, szary

rego szkła uczyniona. Jedne są śmieszne, drugie poważne. Jedne są podobne do małych dzieci, drugie do starych, znudzonych kamratów, co wieczorem ze szczyty do domu wracają. Jedne pachną kwitnącem zbożem i ziemniaczaną nacią, drugie cuchną potem i ludzkieimi wydzielinami. Pomiedzy wszystkimi pęta się jedna, do tego zdechłego psa podobną, co za sortownią leżał przez tydzień. Chłopcy ciskali w niego kamieniami tak długo, aż mu przebili skórę na brzuchu, a zielonkawę jelita wywaliły się nazewnątrz.

Otrząsnąłem się. Teraz znowu wszystko zrozumiałem.

Oto leżę w zawalonym filarze, między kamratami, odgradzony od świata, w dusznej komorze, zamkniętej szczelnie obwalem. Pod obwalem zaś spoczywa mój mądry Fuks. A ludzie?...

— A ludzie? — zapytałem.

— Siedmiu nas tu jest. Dwóch rannych. A reszta może uciekła...

— A może też tam leżą... z naszym Fuksem!... — dorzucił ktoś drugi.

— Kto ranny?...

— No ty!... A tam na wozie leży przywalony Ludwik.

Przychodziłem powoli do sił. Pod wieczór — jak mi się zdawało — zdołałem wstać bez niczyjej pomocy. Czepiałem się dłonią calizny. Wziąłem lampę i jąłem obchodzić filar. Z trzech stron była czarna ściana węgla, z czwartej strony, skąd uciekliśmy, wznosiło się strome urwisko. Z pomiędzy zjeżonych głazów wysterały stemple, zmiażdżone i żzute na miazgę. Miazga białała się w świetle i wydzielala zapach żywicy.

Pod ścianami, na złomach węgla, siedzieli kamraci. Patrzyli w moje światło. Ich gałki oczne lśniły jak szklane. Żrenice były szeroko rozwarłe, spokojne i ciche. Zmięte, umorusane twarze były również spokojne. Koło skrzywionych ust czaiła się tylko zgroza i zduszone przerażenie. Jedynie Warcynga, najstarszy z nas wszystkich chlpał pocichu, pociągał przez

nos, a równocześnie żuł tytoń i słuwał przez szczyrby w zębach.

— Nie przejdziemy? — zapytałem.

— Ni!...

— Próbowaliście?

— Yhy!

— Może nas wyratują!...

Ożywały się wszystkich oczy, zapę-
gały nadzieją, rozbłysły jaśniej. Warcyn-
ga przestał miesić tytoń żuchwami.

— Ha, może!... — mruknął sztygar Michnik.

— Dawno to się stało?...

— Djabli wiedzą!... Może przed godziną!... A może wczoraj!... Nikt ni mo zegarka!... Tam zostały z chlebem i kobotami! — i wskazał dłonią na obwał.

— I co teraz?

Wyrzekłem to pytanie bez zastanowienia. Zupełnie tak samo, jakbym stanął nad wywróconym wagonikiem z węglem i nie wiem, co by uczynić. Rzecz jasna: zejść po kamratów, przynieść łopatę, wagonik wstawić na szyny wspólnym wysiłkiem, zsypany węgiel wrzucić zpowrotem do wagonika i skończone.

Nikt mi nie odpowiedział. I dopiero teraz pojąłem całą potworną grozę naszego położenia. Coś ułapiło mnie za gardło. Serce załomotało gwałtownie, krew ścisnęła zimne mrowie. Oto stoję bezwolny i patrzę w oczy śmierci. Śmierć także stoi obok mnie i patrzy w moje oczy. Patrzymy w oczy jeden drugiemu. W moich oczach powstaje lęk, zamienia się powoli w strach, w taki okropny strach, teraz urasta w przerażenie, wypełnia mnie całego, sięga w trzewia, rwie, gryzie, a ja staję się kłębkim skurczonego życia, które wyje, które okropnie wyje...

— Cicho, pieronie!... Nie wyj!... —
rzekł ktoś z kamratów i szarpnął mnie
mocno.

Spadło ze mnie przerażenie, został tylko lęk. Opanowałem się. Zaciśnąłem pięści, zagryzłem usta, zwiótzczały napięte mięśnie, rozwarły się żelazne pazury, co serce gniotły.

Lęk pozostał u mnie do końca. Czasem wzrastał, czasem przygasał. Zdawałem sobie sprawę, że gdybym był sam, nie wytrzymałbym. Uczyniłbym to samo, co tamten młody Kozubek chciał uczynić. Sztymar Michnik miał na wszystkich czujne oczy. Dojrzał, że młody Kozubek, co na bardziej dał się do wolności, co ściany drałał paznokciami, co targał się w pył i skomlał, a potem długo płakał — że zamierza coś takiego uczynić.

Z obwału wysterkiała złamana stropnica. Kiedy wszyscy drzemali, pragnąc snem oszukać pragnienie i głód parszywy, to on zakradł się do stropnicy, przerzucił pasek od spodni, uczynił pętlę i wsuwał do niej głowę. Szytgar Michnik dojrzał go. Skoczył, trzasnął w pysk!...

— Chwancie zatracony, co robisz?...
— wrzasnął, a kiedy chłopiec zaczął znowu tarzać się w pyłe i skowyczeć, podniósł go, przygarnął do szerokiej piersi i jął uciszać.

— Cicho być, pieronie jeden!... Cicho, ty mój biedoku!... Cicho!... Dyć doczekamy się ratunku!... Jeszcze kilka godzin, a będzie dobrze!... Uwidzisz!... No, cicho, cicho!... — i głośną go po twarzy i do piersi garnał, aż w końcu chłopiec uciszył się i usnął na jego kolanach.

Patrzyłem na tę scenę z pod ściany. Nie miałem siły, by wstać i również pogłaskać szlochającego Kozubka. A chętnie-
bym to uczynił. Wiedziałem jednak, że
parszywy lęk pójdzie za mną i że kiedy
położę dłoń na głowę Kozubka i kiedy
pod dłonią wyczuję płaczące życie, lęk
przemieni się u mnie znowu w przeraże-
nie. A wtedy ja pójdę pod tamtę strop-
nicę!...

Obok lęku wyczuwałem jeszcze żal za Fuksem. Za niczem więcej, jak za naszym mądrym Fuksem. Chwilami starałem się zrozumieć, dlaczego mi nie żal czego innego, ani tych, co mnie na powierzchni próżno czekają i z Bogiem się wadzą o moje życie, — ani tego kamrata naszego,

co tak długo jęczał nieprzytomny na przewalonym wozie i związał się, przegnieniony ogromnym głazem. Kamraci starali się podnieść głaz, wydobyć go z pod niego. Nie dało się. Słuchaliśmy więc jego jęków. Kamraci, a ja również, zapchaliśmy sobie uszy zwitkami gałganów. Nie mogliśmy słuchać jego śmierci. Sztymar Michnik tylko potrafił. Przynosił mu wodę, co trzymał u siebie w manierce i wlewał po kilka kropel w spieczone usta. Długo nie wiedziałem, kto to był. Czy Rewenda czy też Donocik?

Kiedy się zbudziłem, nie wiedzieć po który raz, zdawało mi się, że nie słyszę jego jęków. Wyjąłem gałgany z uszu. Naprawdę nie jęczy!...

— Co się stało? — szepnąłem do sztygara Michnika.

— Pomódl się, pieronie, Ojczenasz za jego duszyczkę!... — rzekł mi. — Ze mną razem...

Usiadłem więc obok sztygara i po-
spólnie jeliśmy mruczeć Ojczenasz. Długo
się modliliśmy. Potem zaczęliśmy odma-
wiać Zdrowiaś Marja, a potem Wierzę
w Boga Ojca.

Kamraci podnosili głowy, wyjmowali gałganki z uszu i przyłączali się do modlitwy. Poszóstny nasz głos rósł coraz bardziej, wznosił się coraz wyżej, przeszedł wkońcu o całą oktawę, a wtedy nasze słowa, pęczniące rozpaczą, zamieniały się w krzyk wysoki, jednostajny, mocny i uparty, tak bardzo uparty, że nie sposób — jak nam się zdawało — by nie miał dojść Boga. Skandaliliśmy tamte święte słowa, a każde z nich było zrodzone w obawie, że za mało ono mocne i za mało święte, by je mógł Bóg poprzez ziemię usłyszeć. Krzyczyliśmy je więc, coraz głośniejsze i coraz uporczywiej.

Potem znużeni i ochrypli legliśmy pod ścianą.

Na stemplu pętała ostatnia lampka. Cisza była między nami i we mnie. Tamten lęk poszedł od nas wszystkich. Jedy-

nie głód wyczuwaliśmy. Podobny był do ciężkiego kamienia, co ostrymi krawcami uwiera boleśnie ściany żołądka.

Usnąłem wkońcu, a wtedy przyszedł do mnie Fuks, wsparł mi łeb na ramieniu i rżał cicho.

Potem zbudził mnie krzyk jakiś. Zerwałem się, lecz upadłem nawznak. Byłem słaby.

— To z głodu!... — uświadomiłem sobie.

Tamten krzyk nie ustawał. Kłębł się u stóp obwał. Nie było w nim radości, lecz wściekłość i przekleństwa. Chciałem się przekonać, co się tam dzieje. Przewróciłem się tedy na brzuch i na czworakach poczołgałem w jego kierunku.

Doszedłem. A wtedy ujrzałem, że kamraci, stłoczeni w przykucniętą gromadę, biją się, kopią, odtrącają łokciami, a wciąż krzyczą. Ostatnim wysiłkiem wepchnąłem się między nich.

— Chryste!... — zaskomliłem.

Oto z pod odwalonych kamieni wystarka głowa mojego Fuksa. Oczy ma szklane, a z poza odchylnych warg szczerzą się żółte zęby. Nachylony Kozubek zagłębia w tej chwili swoje zęby w wargach końskiego czerepu i szarpie... Teraz Zuczek szarpie!... A tamci krzyczą i biją ich pięściami po głowach, a potem wydzierają im z zębów krwawe ochłapy i pożerają...

A. Eisenstein.

O starym cmentarzu żydowskim w Cieszynie.

Historycy Śląska cieszyńskiego w swych rozprawach¹⁾ zaznaczają, że na starym cmentarzu żydowskim w Cieszynie znajdują się trzy kamienie grobowe z XIV wieku.

I. Na pierwszym z nich widnieje napis^{*)}:

niewiasta Ester, córka chawejr***) Samuela."

Pochodzi zatem z r. 1362.

II. Na drugim zatarło się imię zmarłego, a została tylko data:

czyli r. 1364. „5124“

III. Trzeci pomnik zawiera następujące słowa:

¹⁾ G. Biermann: *Geschichte d. Herzogtums Teschen*, II wyd., Cieszyn, 1894, str. 189; A. Peter: *Geschichte d. Stadt Teschen*, Cieszyn 1888, str. 119; Fr. Popiołek: *Dzieje Śląska austr.*, Cieszyn, 1913, str. 187; tenże: *Dzieje Cieszyna*, Cieszyn 1916, str. 217-18; F. Sláma: *Oesterr. Schlesien*, Praga, 1887, str. 70.

*) Podaję tłumaczenie z oryginału hebrajskiego.

**) Ery żydowskiej.

***) Tytuł inteligenta żydowskiego.

„25 nisan****) 5126
 niewiasta droga, p. Jitl, córka
 btp. chawejr Awnera Cilcera.
 Niechaj jej dusza spoczywa u Wiekuistego.“

Pochodzi więc z 1366 roku.

Przy interpretacji faktu istnienia wymienionych nagrobków, B i e r m a n n jest zdania, że zostały one tu skądinąd przeniesione, czyli wyklucza możliwość istnienia skupienia żydowskiego w Cieszynie w XIV wieku. P e t e r — z nieukrytym sceptycyzmem — przyjmuje taką możliwość, ale sądzi, że już wówczas cieszyńska gmina żydowska przestała istnieć i dopiero w połowie XVI wieku na nowo odżyła. P o p i o ł e k natomiast twierdzi, że już w XIV w. — a nawet znacznie wcześniej — Żydzi mieszkali na gruncie cieszyńskim, jednak kwestją dalszego ich pobytu w Cieszynie przed połową XVI w., bliżej się nie zajmuje. S ł a m a prawieże unika w zupełności całego tego problemu.

****) Pierwszy żydowski miesiąc kalendaryzowy.

nie można przypuszczać, że słowo „sznat“ kiedyś było na pomniku, a do dzisiaj — 40 lat po obserwacji Bergera — wywie- trzało, gdyż na pomniku, między mie- siącem a rokiem nie ma żadnej luki, słowa następują ściśle po sobie tak, że niema nawet miejsca na umieszczenie jeszcze jednego wyrażenia. Innymi słowy: Berger zmyślił słowo „sznat“, byle tylko swoją — zdaje się wypieszczoną — hipotezę przeforsować.

Tak samo w sprawie tytułu i nazwisk
nie ma Berger racji.

Na wrocławskich pomnikach żydowskich z XIV w. dość często tytuł „chawejr“ występuje⁵⁾, a nazwisko „Segal“ figuruje już na pomniku wrocławskim z 1246 r.⁶⁾, natomiast nazwiska „Cilcer“, czy „Frenkel“ oznaczają miejsce pochodzenia⁷⁾, co również w XIV w. jest na porządku dziennym⁸⁾. Tak więc twierdzenie o starym pochodzeniu naszych epitafrów nadal zostaje niewzruszone.

A teraz rozważmy wątpliwości Biermanna, względnie i Petera.

Przypuszczenie Biermanna, że nagrobki skądinąd tu przeniesiono, jest sprzeczne z religijną tradycją żydowską. Już samo dlatego powinno odpaść. Zresztą, dlaczego akuratnie w Cieszynie Żydzi nie mogli mieszkać, podczas gdy na całym Śląsku było aż 50 gmin żydowskich?) We Wrocławiu słyszymy już o Żydach w XII

⁵⁾ Patrz: „Die hebräischen Grabschriften schlesischer Juden aus dem 13. und 14. Jahrhundert“, Anh. zu M. Brann: Gesch. d. Juden in Schlesien I, Nr. 7, 19.

^{o)} Tamže, nr 1.

7) „Cilcer“ z miejscowości śląskiej: Zülz;
„Fränkel“ z kraju Franken.

⁸⁾ np. Jekel z Kanth (Arch. miejskie, Wrocław IV, 3 c, 1398—1402), czy Lazarus z Nachod lub Jacobissa z Braunau (Brann, Geschichte der Juden I, str. 31, uw. 1).

⁹⁾ M. Brann: Gesch. d. Juden in Schlesien, str. 203—4—5—6.

¹⁰⁾ Grünhagen: Geschichte Schlesiens, Gotha 1886, I, str. 30; A. Eisenstein: Die Stellung der Juden in Polen im 13. u. 14. Jh., Cieszyn 1934, str. 15.

w.¹⁰⁾, w Opawie w 1281 r.¹¹⁾, w Głogowie w 1280 r.¹²⁾ i t. d.¹³⁾, a w Cieszyńsku nawet nie w drugiej połowie XIV wieku? Czy księstwo cieszyńskie miało jakiś specjalny przywilej „de non tolerandis Judaeis”? Wręcz przeciwnie, śmiem nawet twierdzić, że stosunek książąt cieszyńskich do Żydów był liberalniejszy, niż innych książąt do Żydów innych dzielnic¹⁴⁾. Wkońcu, przed źródłem historycznym wszelkie wątpliwości, czy nawet pełne polotu hipotezy muszą ustąpić. A kamienie grobowe z XIV w. przecież zachowały się i świadczą o istnieniu skupienia żydowskiego w tym właśnie czasie.

¹¹⁾ Grünhagen: Regesten zur schles. Geschichte Nr 1678.

¹²⁾ Berndt: Gesch. d. Juden in Glogau, str. 2.

¹³⁾ M. Brann: *Gesch. d. Juden*, str. 25—27.

¹⁴⁾ Popiołek: Dzieje Cieszyna, str. 217—218.

15) Dowodem tego mogą być następujące przykłady: a) Ks. cieszyński Wacław wraz z małżonką Elżbietą i trzema braćmi solennie przyrzekają, w r. 1440, Żydom swoich prowincyj bezpieczeństwa życia i mienia we wszystkich swoich miastach i wsiach (Berndt: Gesch. d. Juden in Glogau, str. 8); b) Gdy Jan II zwany Groźny w 1480 r. gwałtem przyłączył do siebie tę część Głogowa, która dotychczas należała do ks. cieszyńskiego, srogo zemścił się na Żydach z powodu ich wierności do ks. cieszyńskiego (M. Brann: Geschichte, str. 147). Z tego faktu wnioskować można, że dobrze się im powodziło pod zwierzchnictwem ks. cieszyńskiego, co wykłucza jego bezwzględność i niedopuszczenie do osiedlenia się Żydów w ks. cieszyńskim; c) W pierwszych dziesięcioleciach XVI wieku ze wszystkich miejscowości nad lewym brzegiem Odry wypędzono Żydów. Zostali tylko w ks. cieszyńskim (M. Brann: Gesch., str. 150, 173); d) Cieszyńskie uchwały krajowe (Landesordnung) z r. 1573 były, w stosunku do Żydów, znacznie łagodniejsze od uchwał raciborskich z lat 1561-2. (Por. Biermann: Teschen, str. 284); e) Ks. Elżbieta Lukrecja dała, wbrew uchwał szlachty z dnia 29. I. 1639, kilku Żydom zezwolenie na pobyt w cieszyńskim (Rabin: Vom Rechtskampf der Juden in Schlesien (1582—1783), Breslau 1927, Anh. II, str. IX, uw. 1); f) z 119 tolerowanych rodzin żydowskich na całym Śląsku w XVIII wieku 88 mieszkało w obwodzie cieszyńskim (Jahrbuch d. Ges. f. Gesch. d. Juden in der Csechosl. Rep. V. 1933. Frant. Roubik: „Drei Beiträge zur Entwicklung der Judenemanzipation in Böhmen“, str. 333).

Bezpośrednim, nie ulegającym żadnej wątpliwości dowodem istnienia Żydów w Cieszynie w XIV w. jest notatka w kodeksie dyplomatycznym Moraw z roku 1390¹⁶⁾, że ks. cieszyński Przemysław wraz z synami i obywatelami obowiązują się pewnym Żydom dług, w wysokości 1500 grzywien, w pewnych ratach zapłacić. Nie można przypuszczać, że tu chodzi o wierzycieli nie-cieszyńskich, gdyż w takim wypadku byłoby to zaznaczone¹⁷⁾. Również wzmianka o Żydach w ugodzie między ks. Konradem oleśnickim a Przemysławem cieszyńskim z r. 1373¹⁸⁾, świadczy o pobycie Żydów w ks. cieszyńskim, a zatem najprawdopodobniej w Cieszynie w XIV wieku.

Mają zatem nasze nagrobki też poparcie ze strony nawskróś obiektywnej.

Peter — możnaby powiedzieć: z biedy¹⁰) — przyjmuje tezę o pobycie Żydów w Cieszynie w XIV w., ale wnet odracza ich aż do drugiej połowy XVI wieku. Tymczasem i tu „kamienie mówią“. Dwa odkryte przeze mnie nagrobki z XV wieku świadczą wymownie o istnieniu gminy żydowskiej w Cieszynie²⁰). Oprócz tego jest jeszcze na cmentarzu około 60 nagrobków²¹) zniszczonych, nieczytelnych,

które też mogą pochodzić z XIV, czy XV wieku.

Ale pocóż przypuszczenia, skoro są wymowne źródła: W 1440 roku ks. Wacław solennie obiecuje Żydom bezpieczeństwo życia i mienia we wszystkich swoich miastach i wsiach²²). Nigdy nie słyszymy o wypędzeniu Żydów przez książąt cieszyńskich²³). Z 1531 roku mamy w najstarszej księdze miasta Cieszyna notatkę o pewnym Żydzie Jakóbie, że kupił dom²⁴). W 1575 roku dopiero słyszymy o Żydzie Markusie²⁵). Gdyby zatem Markus, a po nim Singerowie w 1640 roku byli pierwszymi i wyłącznymi Żydami w Cieszynie²⁶), w jaki sposób mogłaby już w 1531 roku być wzmianka o żydowskim właścicielu domu? Musi to więc świadczyć o istnieniu też innych, przedtem zamieszkających Żydów w Cieszynie... I faktycznie tak było. Zezwolenia na osiedlenie potrzebowali głównie nowoprzybyli Żydzi, jak Singer, nie zaś Żydzi dotychczas zamieszkali. Ci musieli tylko mieć pozwolenie na zakup nieruchomości²⁷).

Z dotychczasowych wywodów jedno bezsprzecznie wynika: Na starym cmentarzu żydowskim w Cieszynie istnieją kamienie grobowe z XIV wieku, czyli najstarsze nagrobki żydowskie w całej dzisiejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

¹⁶⁾ Cod. dipl. Mor. XV T. Nachträge, S. 273, N. 312.

17) Por. M. Brann: Gesch. d. Juden in Schlesien, str. III, uw. I.

¹⁸⁾ Por. Popiołek: *Dzieje Cieszyńska*, str. 218.

¹⁹⁾ Por. Peter: Die Gesch. d. St. Teschen, str. II 9: „...so bleibt ...nur die Annahme übrig...“

²⁰⁾ Gmina ta musiała nawet być znaczna, skoro w owych czasach miała własny cmentarz (por. paragraf 13 przyw. Bol. Pobożnego z 1264 r., z czego wynika, że tylko większe gminy miały cmentarz).

²¹⁾ „Księga ewidencyjna nagrobków na starym cmentarzu izr. gminy wyzn. w Cieszynie“, lit. „U“.

²²⁾ Berndt: Gesch. d. Juden in Glogau, str. 8.

²³⁾ Por. M. Brann: *Gesch. d. Juden*, str. 150, 173 i tegoż: „Die schles. Judenheit vor und nach dem Edikt vom 11. März 1812“ (*Jahresbericht des jüd. theol. Seminars in Breslau*, 1912, str. 3, uw. 2).

²⁴⁾ Najstarsza księga m. Cieszyna, str. 335.

²⁵⁾ Biermann: Teschen, str. 189.

²⁶⁾ H. Berger, w. MGWJ, 1895, str. 39.

²⁷⁾ M. Brann: Geschichte der Juden in Schlesien, str. 183, 187.

Notatki.

I.

„Rewolucja“ r. 1848 w Końskiej.

Opowiadanie.

Rok 1848, słynna „wiosna ludów“, był dla naszych ojców i dziadków czemś podobnym, jak dla nas rok 1914. Wciąż powracali doń myślami i opowiadali swe przeżycia z owych czasów. Chcę tedy krótko podać, co się w roku tym działo w mojej wsi rodzinnej. Czynię to na podstawie opowiadania mojego ś. p. Ojca, który urodził się w roku 1842 i sam pamiętał trochę rok 1848, a opowiadań o nim nasłuchał się dużo w młodości, — jak specjalnie na podstawie wiadomości, podanych mojemu bratu, Józefowi, przez barona Beesa, „dziedzica“ Końskiej w roku 1848, w 51 lat potem, gdy baron Bees po sprzedaży dóbr końszczańskich (rok 1893) spędzał ostatnie lata życia w Wiedniu, a brat widywał się tam z nim czasem (rok 1899).

W ogniu rewolucji stanął Wiedeń. Dwór cesarski uszedł na Morawy do Kromierzyża i Ołomuńca. Dowiedziano się o tem i w Końskiej. Zawrzało między chłopstwem. Student medycyny, Oszelda z Nieborów, przyjechał z Wiednia i urządzał wiece po wsiach okolicznych. Nie ominął i Końskiej. Na placu przed „harendą“ wołał do tłumnie zebranych chłopów: Wolność i równość dla wszystkich! Wolnym odtąd jest nie tylko pan, ale i chłop, nie tylko Niemiec, lecz i Polak! Po jego mowie wystali chłopcy deputację do zamku, ogół zaś gromady stanął przed parkiem zamkowym w groźnej postawie. Przewodniczący deputacji przemówił do barona Beesa:

„Miłość-Panie! Słyszeliśmy, że poncysorz już wyjechali z Wiednia na Morawę, a jeśli poncysorz już ni mogli rozkozać wiedenikom, tak już też ani oni,

Miłość-Panie, nie będą nom, końszczanom, rozkazować. A tak posłuchają, co my powiemy:

Po pierwsze: nie bedymy już więcy na „pański“ chodzić, ani pola jejich obrobić, ale każdy jenom sobie samemu swoji pole obrobić będzie.

Po drugi: chcemy, aby nom wydali „verwaltera“, aji „sztrofbank“ — te „stolice“, na kierej nas bijo!*)

Po trzeci: kiej je wolność dlo wszystkich, to od dziśka już nie jeny oni, Miłość-Panie, bedom strzylać zające, ale my se sami wystrzylomys za to, że nom takom szkoda przez tela roków dycki robiły po polach.

Tela chcemy, a oni, Miłość-Panie, nom teraz powiedzą, czy sie na to godzą, lebo ni.“

Baron Bees nie zmieszał się bynajmniej. O jedno tylko zadrżał w duszy: o los swojego rządcy, który w wiernej dlań służbie wymierzał dotąd kary na „stolicy“ chłopom, a teraz groziła mu za to krwawa zemsta. Ale młody odważny baron wnet się zorjentował. Wyszedł śmiało z zamku do gromady chłopów przed parkiem i ozwał się do nich uprzejmie:

„Moi mili końszczanie! Słyszolech teraz od waszej deputacji, czego chcecie i chcę wam dać piękną i miłą odpowiedź. Ale parcie ludkowicie! Serki roków trwoł ten porządek, iakichmy mieli po teraz, a tu naroz mielibychmy go obalić jednem słówkiem i w jednej chwileczce? Pozwólcie jeszcze aspoń pół godziny, bych se mógł piękną odpowiedź dlo was ułożyć, jak sie patrzy w tak wielki sprawie — a wszy-

*) „Stolica“ była to ławka, na której wymierzano chłopom kary cielesne. Z niemiecka nazywano ją też „sztrofbank“. Pamiętam z dzieciństwa, jak wśród ludu mówiono, gdy ktoś zawińił: „na sztrofbank z nim!“ albo: „położyć go na stolicy!“

Skutek był ten, że chłopci rozrabiali w drzazgi „stolicę“, a potem przez kilka tygodni, chodząc gromadnie z chłopami sąsiednich wsi, jedni ze strzelbami, drudzy z kijami urządzali obławy na zajęce tak długo, aż w całej okolicy biedny „szaraczek“ stał się okazem rzadszym od „białego“ kruka.

II.

„Pieśniczki“ takie rozsprzedawano niegdyś także w druku po jarmarkach. Zastępywały one ludowi dzisiejszą gazetę. Podczas sprzedaży przy jarmarkach sprzedający sam dla reklamy nieraz występował pierwszą zwrotkę danej „pieśniczki“. Niektórzy z 80-letnich dziś ludzi pamiętają jeszcze, jak młody niegdyś szef

jednej z głównych drukarni cieszyńskich, znany później radca miejski Prochaska, po roku 1860 sam sprzedawał na jarmarkach cieszyńskich takie „pieśniczki“ i sam je dla reklamy wyśpiewywał. Jedna z nich (z domieszką czeszczyzny), zaczynała się następująca zwrotką:

Jura Mrózek, ten z Bystrzyce,
obywatel tej wiestnicy,
tę wielką hańbę uczynił,
że własną żonę zabił,
którą se poślubił.

Jeszcze dotąd wśród ludu śląskiego w Cieszyńskim mówi się ironicznie: „A! — piękną o tobie pieśniczke śpiewając”, to znaczy: Ładnie, ładnie o tobie mówią.

Jedną z takich „pieśniczek“ (oczywiście w całkiem innym sensie niżli przytoczona powyżej) jest: „Lamentacja nad śmiercią zmarłych duchownych ojców“.

Autór opłakuje w elegijnym i ludowym tonie, miejscami wcale udatnie, śmierć siedmiu duchownych ewangelickich, zmarłych w latach 1855—1865. Zaczyna od ks. Jerzego Lumnitzera w Bernie, który od roku 1830 do 1864 był superintendentem morawsko-śląskim, a wspominając jego następcę, którym był ks. Samuel Schneider w Bielsku, porównuje go z biblijnym Samuelem, następcą sędziwego Heliego. Potem wspomina kolejno zgon pastorów: Raschke'go w Bystrzycy († 1855), Filipaka w Ligołce († 1858), Koczego w Ustroniu († 1856) i Schimki w Bielsku († 1858). Wreszcie opiewa śmierć obu pastorów cieszyńskich: ks. Andrzeja Żlika i ks. Gustawa Kłapsi, którzy obaj zmarli w roku 1865, pierwszy na wiosnę, drugi w jesieni. Ks. Żlika wysławia jako „złotoustego“, któremu „się Chrystus przy śmierci ukazał“. Zgon zaś ks. Kłapsi — jak opisuje — nastąpił nagle, gdy po nabożeństwie z okazji imienin cesarskich (zapewne w dzień Franciszka, 4 października) szedł na farę z kościoła. Córka zemdlła na niespodziany widok zgasłego ojca. Można by to porównać z tem, co pisze w tej sprawie Edyta

Schmettanowa w niemieckiej powieści
„Die sieben Kinder des Pastors Katten-
schlag“.

Wiersz jest wyrazem, jak i wśród ludu ewangelickiego na Śląsku w owych czasach odczuwano potrzebę wypowiedzenia wierszem uczuć, ogarniających ogół. Sądząc z dodatku, który także przytaczamy („Przydatek“), był autor już człowiekiem starym, a więc w młodości jego szkoły na Śląsku były zapewne jeszcze czeskie; nie mniej pisze autor dość dobrym językiem polskim. Widocznie wczytywał się w religijną literaturę ewangelicką staropolską. Przypomina też wiersz swoim rytmem ponieważ pieśń, względnie modlitwę rymowaną, umieszczoną na początku „Kancjonału Doskonałego“, wydanego we Wrocławiu w roku 1672.

A więc odpis brzmi:

Lamentacja nad śmiercią zmarłych duchownych
ojców.

1. O Chryste, obrancze zboru krzyżowego,
Tyś jedyną głową kościoła naszego,
Rozwesel te zbory, któreś tak ogłuszył,
Gdyś wierne Biskupy śmiertelnie poruszył.
2. Umarł Superedent¹⁾, biskup świętej wiary,
Która słowem Bożem twierdzi swe filary,
Nad tą jego śmiercią żaden się nie żdziwiał,
Bo we swym urzędzie nadobrze osiwał.
3. Ta jego śmierć wielkim smętkiem nie groziła,
Bo się nam ta strata słuszenie nadgrodziła,
Bo na miejscu Heli, kapłana starego,
Mamy Samuela²⁾, męża udatnego.
4. Bo nie tylko się ich imiona zgadzają,
Ale oba jeden święty urząd mają,
Ten w starem pzymierzu bywał przy ofiarze,
Ów święci kościoły i nowe ołtarze.
5. Ale tu nastąpią powieści truchlejsze,
Co to postradały te zbory tutejsze;
Ci ważni mężowie, co w nich nauczali,
Już jeden za drugim na mary się brali.
6. Najprzód ten w Bystrzycy³⁾, lekarz ciał i duszy,
Filipek w Ligotce nie rozgrzesza duszy,
Bo go w grób wynieśli z tej Ligockiej fary,
Chociaż to ksiądz nie był jeszcze bardzo stary.
7. Gdzież jest Karol Koczyski, kaznodziej ustronński,
Co spał dla dzieciak trzy użyte książki?
Ten we swym urzędzie nigdy nie próżnował,
I k'swemu pogrzebu sam sobie tekst obrał.

¹⁾ Ks. Jerzy Lumnitzer w Bernie.

²⁾ Ks. Samuel Schneider w Bielsku.

3) Ks. Wilhelm Raschke.

12. Która przyszła na świat za chytrością węża.
Zbór się ciężko smęcił, ożalić go nie mogli,
Gdy się ten ważny mąż śmiertelnie rozniმოł,
Któremu w czystości słowo Boże kazał,
Za to mu się Chrystus przy śmierci ukazał.
13. Był to kaznodzieja rzyckiego^{a)} języka,
Bo wymowa jego mało się umyka
Staro-Chryzostoma, bo ci, co go znali,
Dla jego wymowy złotoustym zwali.
14. W szkole był ku dzieciom jak ojciec serdeczny,

15. Wspomnijmy na Klapsię, pana Wielebnego,
Jak Bogu tak ludziom wielce przyjemnego,
Tegośmy w miłości wszyscy piastowali,
I ci Rzymscy bracia też go miłowali.
16. Był to kaznodzieja, mało równych jemu,
Objąsniał on rozum i wyuczonemu,
Bo żywot człowieka tak opisać umiał,
Że i mądry człowiek nad tem się aż zdumiał.
17. Ostatnie modlitwy czynił za Cesarza,
Bo już potem więcej nie stał u ołtarza,
Jak przyszedł z kościoła, szedł obczerstwić

18. A tam umierając, na ziem się wywrócił,
A tam na tem miejscu dług śmierci zapłacił,
Przelękli się ludzie, zadrażyły w nich kości,
Ze ksiądz Kłapsia umarł w takowej prędkości.

19. Nie ubronił się jej, wielka jej siła,
Bo księda na dłażce umrzeć przymusiła,
Gdy się nam nie wrócą, tak ich nie lutujemy⁵⁾,
A ku swojej śmierci wszyscy się gotujemy.

20. Niektórzy płakali, żalowali wszyscy
Jako Samuela ci Izraelczycy,
Też i Pani córka od żalu zemdłała,
Gdyż to Pana Ojca martwego widziała.

21. Ach, przemocny Boże, cóż się z nami dzieje?
Ze nam przez śmierć bierzesz drogi kazo-
dziej?

22. Ach, przemocny Boże z nieba wysokiego,
Nie dopuszczaj na nas losu tak ciężkiego,
Który serca nasze głęboko przeraził,
Gdyś duchowne Ojce z świata wyprowadził.

23. Ach, przemocny Boże, zmiłuj się nad nami,
Po duchownych Ojcach smutne sierotami,
A racz nas pocieszysz w tej niedoli naszej,
Bo spadła korona droga z głowy naszej.

24. Prośmy jednomyślnie, Ojca Niebieskiego,
Aby wskazał głosy na męża zdatnego,
By w jego winnicy usilnie pracowali,
Słowem i przykładem zbór Chrystów bu-
dowali. Amen.

Drukujemy też jeszcze dodatek tego samego autora do powyższego wiersza. Brzmi on:

Jam znikomość ludzką ogarnął myślami,
Co to miły Pan Bóg może czynić z nami,
Nie miałem pokoja aż mego sumienia,
Musiałem się rzucić do tego czynienia.
Ponieważ i na mnie ortel⁷⁾ śmierci ciąży,
Przetoż se rozważył śmiertelność tych księży,
Bo to i pod księżda mary są gotowe,
Nie sprzyczy się⁸⁾ śmierci, choć ma mądrą głowę.
Jam się już zestarzał, aż mam siwą głowę,
Na moją śmierć myśli zawsze mam gotowe,
A tu z temi słowy już pisać przestałem:
Poświęć Boże wszystkich słowem świętem.
Amen.

⁵⁾ żałujemy.

7) wyrok.

⁸⁾ nie oprze się.

III.

Agenda kościelna dla zboru ligockiego
z roku 1837.

W latach 1837—1858 był pastorem w Ligotce Kameralnej (powiat czesko-cieszyński) ks. Jerzy Filipek, urodzony w Łakach przy Cieszynie w roku 1803. Stalmach wspomina w swych pamiętnikach, że łączyły go z rodziną tego pastora bliższe stosunki. Tradycja ustna niesie, że Stalmach jako student był wprost zaręczony z córką ks. Filipka, która jednak umarła w roku 1848, licząc zaledwie 18 lat.

W ewangelickim urzędzie parafjalnym w Ligotce zachowała się dotąd po ks. Filipku pisana Agenda w postaci grubego zeszytu z tytułem: „Agenda Kościelna dla zboru Ligotskiego — 1837“. Zawiera ona wersety liturgiczne i modlitwy kościelne, nadto wzory odprawiania różnych funkcji kościelnych.

Język nie jest wzorowy. Wykazuje prowincjonalizmy, miejscami germanizmy; jest to język, jak go sobie przyswoił i wyrobił autor w danych warunkach. Od kołyński znał język polski w postaci gwary śląskiej, ale szkoła ówczesna śląska nie mogła mu dać odpowiedniego wyrobienia językowego. W szkołach powszechnych przeważała wtedy czeszczyzna; w gimnazjum ewangelickim w Cieszynie, dokąd ks. Filipek niezawodnie uczęszczał w młodości, uczono wprawdzie dość dobrze języka polskiego, ale i tu więcej czasu poświęcano językowi niemieckiemu*).

*) Zeszyty uczniów gimnazjum ewangelickiego w Cieszynie, zachowane z owych czasów świadczą, że uczono tam także wtedy dość intensywnie języka francuskiego, naturalnie i łaciny. W latach młodzieńczych ks. Filipka było to gimnazjum teologiczne, to znaczy, że posiadało wyższą organizację, a absolwenci mogli być nauczycielami religii i po ordynacji pastorami skromniejszych zborów wiejskich, podczas gdy pastory wiejscy, lub większych zborów wiejskich, musieli kończyć wyższe studia teologiczne. Czy ks. Filipkę był gdzieś na wyższych studiach teolo-

Dokształcał się zatem ks. Jerzy Filippek w języku polskim na staropolskiej lekturze ewangelickiej, zapewne w pierwszym rzędzie na Biblii Gdańskiej z roku 1632 i postyli ks. Samuela Dambrowskiego z XVII wieku, gdyż obie te książki były najwięcej rozpowszechnione wśród ewangelików śląskich.

Na samym końcu tej pisanej Agendy znajduje się 5 formularzy, podających, jak odprawiać wywody wśród poszczególnych okoliczności. Zwraca tu uwagę specjalnie formularz piąty, odnoszący się do wywodu po nieślubnych narodzinach. Wiadć, jakie moralne pouczenie z odpowiednim religijnym uzasadnieniem stosowano wtedy w takich wypadkach. Ze względu na to, jak i dla utrwalenia w druku przynajmniej krótkiego urywku tej Agendy, warto przytoczyć z niej wspomniany właśnie piąty formularz wywodowy. Brzmi on dosłownie z zachowaniem oryginalnej pisowni następująco:

Formularz V.

Na wywód Sześcińdziołki¹⁾), która nie w małżeństwie dziecię porodziła, a do kościoła przyszła, żeby pożegnana²⁾) była.

W Panu umiłowani krześcianie!

Własne wasze sumienie wam musi przypomnieć, iż wielką macie przyczynę upokorzyć się przed Bogiem i prosić go o odpuszczenie tego grzechu, któregoście się dopuścili. Podług mądrego sporządzenia³⁾ Bożego, tylko przez ustanowione małżeństwo się pomnażać ma pokolenie ludzkie. Każdy temu porządkowi przeciwny postępek jest nieprawością, która przeszkadza szczęśliwości ludzkiej pospolitej, a sławę, pokoy i szczęście osobnych ludzi psuie. Dlatego Pan Bog w słowie swoim, wszystką nieczystość i wszeteczność tak ostro zakazał, a tako-

gicznych, czy też ukończył tylko cieszyńskie gimnazjum teologiczne, trudno dziś dochodzić.

1) Matka, przychodząca na wywód w 6 tygodni po narodzeniu dziecka.

²⁾ pobłogosławiona.

³⁾ zarządzenia.

Materjały.

Opowiadanie ludowe o czornym Jurku fabryckim.

W Górni Suchej bywała też hańdowni wielkucerno fabryka (założona w roku 1836), kierom kozoł wystawić zómecki grof Larysz s Wrysztota. Fabryka miała za rakuskich czasuw ogromny przeca odbył na wszelijaki braki (gatunki) cukru, a nejwiecej jusz na kłobuki małe i wielki, a niewyrobiony zaś melas, to ludzie kupowali do krupice, abo — jak jom nazywali — nowomodni kawy. Kłobuki cukru posyłali też ci panowie fabryccy dalekucno po Rakusach, baprawieć i do Turcyji. Całom fabrykóm górniosuskom hewirowoł w tych czasach ogromne nimczysko, a ludzie szuszkali miendzy sobom, że mioł być baji zieniciym jakigosikej Stanka, kiery hewirowoł grofowski majontkym, a mioł pod swojom komandom te skrwawionom barbo-rem, co jom kozoł nijaki Michnik ze Żywocie zebrać ludziom w osiemasztyrcatym roku podczas rebelije.

Dyrektur nazywoł sie niejaki Forner, a że był bardzo gniady, czorne oczy, włosy i fus, to go też fszyscy fabryccy robotnicy przeżywali „Czornym Jurkym“. Nie umioł też gor nic rzondzić po polsku, bo był goły niymiec-szwob. Na ludzi był ogromny pies, ale do sfoji kapsy ogromnie dboł, a mieli go też ludzie w podezdrzyniu, że on fabrykem po sztyryceci rokach przywiódł na basamalejki... Robił sie ogromnym gospodorym, bo jak jyny mu gdo zameldowoł s wochtróf, Włoszek — macok, abo Konesz, to hneda okropnie sztrofowoł i kozoł baji bić za mało wielki konsek cukru. W kancnaryji sie dycki pytoł: „Jaki ty bycz religijon?“ — Jak mu powiedzioł gdo, że katolik, to sie roswiścieklił i krzyczoł na całe gardło: „Zo to bycz katolisz a kraszcz! — Miecz piencz szustek, abo reński sztrof!“ Nejwienkszom jusz złość

mieli fabryccy robotnicy na tego hasztabigem Włoszka-macoka, kiery jako wachtorz był ogromnie wierny fabryce, bo przy bramie po skończonej robocie każdego macoł i niuchłoł za konskem cukru. Ludzie też szuszkali, że mioł w somsieku ogromnie moc kłobukóf cukru słożone, kiery potym sprzedowoł i mioł se za to wyfundować nieskorzy chałupke w chroście (pono l. 108). — Ros też ogromnie dyrektur wachowoł szlosorzów i kowoli, aby co nie sfuszowali dło siebie. Było to zimowym czasym; wpod do warsztotu i opowożył sie jednego s kowoli wyfackować, za to ci drudzy skoczyli i zgasiłi fszystko światło i saframencko mu nałotali, aby wiedzioł tyn czorny Jurek, że jich ni mo tak niemořeśnie, baji po szwobsku przeżywać i bić. Nimóg jim też nic zrobić, bo było ćma a nie wiedzioł gdo go tak bił... Jakiś czas mieli potym fabryccy robotnicy pokuj od tego psiwiary czornygo Jurka, ale hneda sie fszyscy dowiedzieli we fabryce jaki mu porzondny bał zrobili kowole i szlosorze... Na ostatku umioł tela po polsku, że móg wyprzeżywać każdego, co jyny wlazło.

* *

W roku 1873 została fabryka cukru w Górnej Suchej zniesiona, ale w przeciągu trzech lat jeszcze sprzedawano nagromadzone zapasy cukru i przeprowadzono całkowite rozmontowanie maszyn tak, że z siedmiu kominów pozostał tylko jeden, obecnie gorzelniany. Dyrektor Forner popelnił pono samobójstwo przez otrucie się w Wiedniu, ponieważ młody hrabia dał mu do zrozumienia, że z pewnością grozi mu za to niesumienne prowadzenie fabryki i różne malwersacje ciężka kara. Fabryka cukru była pierwszą tego rodzaju na Śląsku i cieszyła się w swoim czasie dobrą opinią. Posiadała ogromne zabudowania i zatrudniała

w ostatnich latach swego istnienia przeszło 1200 robotników.

Według opowiadania swojego dziadka,
starego robotnika w fabryce, spisał
Rafał Olszak.

Strój laski.

A) **Stroj kobiety.** Łaszki nosiły suknie szerokie, przeważnie bez ozdób, niekiedy — co zdarzało się w stroju weselnym — z naszyciem różnobarwnych wstążek. Suknia łączyła się z tak zwanym „lajbiczkciem“, czyli stanikiem, tego samego koloru, lub z czarnego aksamitu (przy sukniach lepszych). Pod „lajbiczkciem“ nosiły kobiety koszulkę z wąskimi rękawami, ozdobionymi różnymi naszytami i wstążkami, zawiązywanymi na „maszki“, z końcami spływającymi w dół. Pod szyją koszulka była również zawiązana wstążką. Czepek na głowie ozdobiony był „rułeczkami“, prasowanymi przy pomocy osobnych przyrządów. W tyle związany był czepek szeroką wstążką. Panny nosiły włosy splecione w dwa warkocz lub w jeden. W warkocz wpleciona była wstążka koloru jasnego. — Młode panny lub drużki nosiły wieniec w przodzie szerokie, zaś zakończenia wienca (pręty) spływały po warkoczach w dół. W pasie bywała szeroka wstążka, zawiązywana w tyle na „maszkę“. Końce wstążki musiały spływać zarówno z suknią. — W porze zimowej nosiły kobiety „jake“ lub — bogatsze — „szpencery“. Szpencer, była to upięta jakła, koloru zwykle ciemnego, z wielkimi białymi guzikami, zaś bogatsze Łaszki zapinały go guzikami srebrnymi.

B) **Strój męski.** Lasi nosili także „szpencery“, przeważnie z guzikami srebrnymi. Takie same guziki ozdabiały kamizelkę. Do stroju laskiego należały wysokie buty, które zwano „polokami“ lub „krakusami“. Później noszono tak zw. „szyblety“. Pod kamizelką była koszula z szerokimi rękawami bez naszyć. Kapelusz był mały.

Męski strój laski znikł już bezpowrotnie, a kobiecy ogromnie się zmienił. Z końcem zeszłego wieku tandeta miejska zaczęła go wypierać i dziś oglądamy już tylko ślady.

Jan Pribula (Łąki 1929).

Opowiadani o Ondraszku.

Na granicy morawsko-śląskiej w dziedzinie Janowicach przy Frydku żyła jedna rodzina dość bogato, kiero ni miała żodnych dziecek. Baba tego chłopca strasznie opłakowała, że żodnych dziecek ni mo i rzykała, aby i Bóg doł dziecko, a jak sie nie spełniło jeji życzyni, tak powiadała jak i Bóg nie doł, aż i do djoboł. Jednego dnia sie i narodził synek, a jak sie narodził, hned spadła ognisto kula do placu, jako znak, że to je od djobła. Synka okrzčili, a dali mu na miano Ondrasz, a tak Ondrasz rosnół, aż mu było sześć roków, tak szoł do szkoły, ale hned we szkole sie ukozało, że synek je strasznie wielki urwisz, nie chciół sie uczyć, jeny sie bił z drugimi synkami, tak robił, że go musieli wygnać ze szkoły i nie dokónczył swoji nauki. Jak go wygnali ze szkoły, Ondrasz odeszoł z domu. Zaczón miyszkac w lesie i przibroł se kamarada. Na miano mu było Jura i zaczyni robić same złe kaski. Wachowali w lesie, a jak szoł gdo bogaty kole lasa, to wyskoczyli, zebrali mu piniądze, a że na chudobnych był strasznie dobry, tak im to rozdoł. Zato go panowie ni mieli radzi, a chłop go bronili, ale dlógo sie mu dobrze nie darziło, bo kamrad jego Jura chciół sie stać komandantym nad nim. Czyhał na niego każdóm chwile, aby mu zebrać obuszek, co dostał Ondrasz od starej czarownicy jako darek, że pokąd z tym obuszkym bydzie chodźić, że go żodyn nie zabije, ani kula s flinty sie go nie chyci. Tak też i było do tego czasu, aż kamrad jego Jura mu roz zebrał obuszek i Ondrasz pozbył wszystkim siłę i moc, a Jura sie stoł panym lasów. Od tego

czasu się skończyły strachy dło panów,
bo go kamrad jego wydoł szantarem, a
Jura i tak z tego nic ni miał. Biydni
ludzie spominajóm po dzisio, że go je
szkoda.

Opowiadał Brych Paweł z Orłowej,
spisała B r y c h ó w n a.

Podanie o dwóch wędrownych.

W jednej dziedzinie nad rzyką Pietrówką za czasów pańszczyzny żył na jednej kępie ubogi siedłok. Były to czasy nieurodzajne. Przyszli roz do niego dwa wędrowni i pytali go o noclyg. Siedłok się zlitował nad nimi i przyjon ich na noc. Wędrowni polegali na ziemi i posnęli. Noc była jasno, bo miesiąc świecił. W nocy się obudzili, stanęli, zawołali gazdy, żeby stanął i szoł śnimi na swój grunt, że tam mo skarby złota, a on o nich nie wie. Kozali mu wziąć ze sobą miech, aby se mógł potem do niego nabrać złota. Wędrowni już mieli swoji miechy

z domu. Potem poszli do pobliskiej brzeziny. Tam jeden wędrowny urznął trzy pręty i rznął nimi o ziemi, a przed nimi odewrżyła się jaskinia. Było tam w niwidno, jakby tam miesiączek świeciło. Prawili, aby w tej jaskini nic nie mówić. Weszli do ni i szli chwilę, aż uwidzieli na ścianach wisieć złoto. Wędrowni zaczęni łomać złoto do swoich miechów. Gospodarz nie łomoł, bo se myśłoł, że pó'dzie rano i nabiere se wiela bydzie chcioł. Jak już mieli pełne miechy, wyszli z jaskinie, a tyn, co mioł ty pręty, rznął nimi o ziemi a ziemia sie zawrżyła. Wędrowni szli z gazdą aż ku wrotom, potem sie rozłączyli śnim i poszli. Gazda jak pszyszoł do chałupy, wszyscy sie pobudzili, a on im to wszystko opowiedzioł. Pachoteł lecioł za nimi, ale już ich nigdzi niedogoniół. Rano tam chcioł iść gazda, ale nie wiedzioł w kierym miejscu to jest.

Piechaczek Dominik, Piotrowice.
Opowiadał ojciec Szczepan Piechaczek.

Recenzje i sprawozdania.

Ks. Józef Buryan, Skąd pochodzi twoje imię i nazwisko i nazwa miejscowości rodzinnej? (Zwizły zarys imiennictwa polskiego.) Warszawa, 1933. Odbito w drukarni Współdzielcze, 8-ka, str. 43 + 5 nlb.

Znany już z przedwojennego „Zarania śląskiego“ badacz imiennictwa polskiego¹⁾, wydał obecnie pod powyższym tytułem książeczkę, opartą na obfitym materiale naukowym. Autor jest proboszczem w Golezowie na Śląsku Cieszyńskim. Godny zaznaczenia jest fakt, że jako duszpasterz na prowincji upodobał on sobie tę „suchą“ gałąź nauki, tak bardzo odległą od jego zajęć codziennych i w tem amatorstwie, wymagającym dużo pracy i wiele znajomości fachowych, osiągnął

poważny wynik. Z tytułu książeczki można by wnioskować, że chodzi tu o popularną publikację bez pretensyj do poważniejszego traktowania jej, tymczasem jest to praca napisana wprawdzie przystępnie, ale poważna.

Autorowi przyświecał, jak sam podaje, szlachetny cel: poznanie rzeczy swoich. Stąd też z pewnością pochodzi jego zamięłowanie do przedmiotu, do którego powrócił znowu po 20 zgórą latach.

Wychodząc ze słusznego założenia, iż wszelkie nazwy mają swoje uzasadnione znaczenie, stara się autor dać czytelnikowi zarys systemu imiennictwa oraz wskazać, jak należy zabierać się do tłumaczenia nazw, które wydają nam się obecnie jakimiś tajemniczymi zaklęciami.

Zaczyna autor swą pracę od imion osobowych, gdyż były one często punk-

¹⁾ Ks. J. B., O pochodzeniu i powstawaniu nazw miejscowości w języku polskim, Zaranie śląskie, IV (1912), str. 49—56.

tem wyjścia do tworzenia nazwisk, a nawet nazw miejscowości. Oprócz starych dwupniowych imion słowiańskich, kończących się przeważnie na — sław i na — mir (mierz), a zawierających dobrą wróżbę albo życzenie pomyślności i sławy, z przyjęciem chrześcijaństwa weszły w używanie również imiona hebrajskie, greckie i łacińskie, zyskując sobie wszystkie prawa obywatelskie.

W wielu wypadkach różne zdrobniełe lub zgrubiałe odmiany imion dostały z biegiem czasu funkcję nazwisk, przechodzących z ojców na synów. W tym dziale podaje autor dużo (na zwięzły zarys może nawet za dużo) przykładów nazwisk, utworzonych z niektórych bardzo rozpowszechnionych imion. Tak np. na stronie 7 podaje coś 150 nazwisk, wywodzących się z imienia Jan.

Prócz tego omawiane są również inne rodzaje nazwisk: nazwiska patronimiczne czyli odojcowskie (na — ic, — owic, — ewic; c później przeszło na cz), nazwiska, powstałe z przydomków lub przezwisk, nazwiska od zatrudnienia, od narodowości i pochodzenia, siedzibowe i wreszcie krótko nazwiska obce i sztuczne.

Przechodząc do nazw miejscowości, autor rozróżnia zasadniczo dwie główne grupy: nazwy powstałe z nazw rzeczowych oraz takie, które wywodzą się z nazw osobowych. W grupie pierwszej właściwość miejsca nadaje nazwę, w grupie drugiej nazwa pochodzi od mieszkańców (bez zmiany brzmienia lub z końcówką dzierzawczą). Specjalny ustęp poświęcony jest wskazówkom, „jak się zabierać do wy tłumaczenia nazwy?” Dla zupełności dodane są rozdziały o nazwach ludów i narodów oraz o nazwach gór i rzek.

Twierdzenia swe popiera autor licznymi przykładami. Często przytacza naukową etymologję danego słowa. Czasem jednak niezrozumiałą albo przynajmniej trudno zrozumiałą nazwą zostawia bez

objaśnień, albo objaśnienie jest za skąpe i nie zadowala. Tak np. w rozdziale p. t.: „Nazwy rzek” spotykamy na str. 43 (ustęp 3) takie tłumaczenie: „Od wody (odwodne): Don, Doniec, Dunaj, Duna-jec, Duna-Dźwina, Odra” i t. d.; ale co owe nazwy znaczą, jaką ta woda jest, autor nie mówi. Omawiając nazwę rzeki Olzy, tłumaczy tak (str. 43): „O-lza (płynąca naokoło, tworząca kolano)”. Z samego jednak rozbitcia nazwy na dwie części nie można wywnioskować, że jest to rzeka „płynąca naokoło”. W artykule tegoż autora w „Zaraniu” jest zresztą inne tłumaczenie (z wałaskiego; ma znaczyć tyle co Bystra). O nazwie miejscowości Charmęcie dowiadujemy się tylko, że pochodzi ona od właściwości miejsca.

Autor walczy stanowczo z tak zwaną etymologją ludową, tłumaczącą nazwy w poetyczny wprawdzie sposób, ale sztucznie, nienaturalnie. Lud wyobraża sobie, iż nazwy miejscowości powstały dopiero po długim namyśle, kiedy wieś albo miasto były już dawno rozbudowane i zamieszkane. Tymczasem dostały one swą nazwę „samorzutnie i prawie bezwiednie”. Ta trzeźwość naukowa należy do zalet dzieła.

Zaletą jest również zasada, że trzeba zerwać z metodą, szukającą wytłumaczenia nazw z obcych języków, jeżeli nazwy te można w łatwy sposób wytłumaczyć z języków słowiańskich. Tak więc nazwy Karpaty, Wisła, Olza, Śląza i t. d. są według autora pochodzenia słowiańskiego.

Na łamach „Zarania” można również podkreślić, że autor uwzględnia przedewszystkiem nazwy śląskie, podając czasem inne tłumaczenia, niż te, z którymi się dotąd spotykano (Cieszyn, Skoczów, Istebna i t. d.).

Książka ta zawiera wiele ciekawych rzeczy i może zastąpić obszerne dzieła z tej dziedziny. Przejrzyste zestawienie materiału sprawia, że zwięzły ten zarys czyta się łatwo i z zainteresowaniem.

E. Wadowski.

Ferdynand Pustówka, **Zbiór śpiewek wiślańskich**, Część I, Wiśła-Malinka 1932. Nakładem wydawcy. Zakłady litogr. „Mika“ w Cieszynie, str. 44.

Wszyscy, których interesuje folklor, specjalnie folklor śląski, witają z radością wszelkie z tej dziedziny nowe wydawnictwa, nietylko takie, które zakrojone są na szerszą skalę, lecz wszelkie, choćby najdrobniejsze, przyczynki. Zbiór pieśni ludowych kierownika F. Pustówki jest też takim przyczynkiem, którego zamilczeć się nie powinno. Zebranie, opracowanie i wydanie własnym sumptem 50 śpiewek, kosztuje sporo pracy i pieniędzy. Należy więc za to wyrazić wydawcy uznanie i zachęcić do dalszej w tym kierunku pracy.

Tytuł „Zbiór śpiewek wiślańskich” kazałby się spodziewać, że w zbiorze zebrane zostały pieśni ściśle lokalne, wiślańskie. Po bliższym zapoznaniu się ze zbiorkiem dochodzi się jednak do wniosku, że wydawcy nie o to chodziło. Zbiorek zawiera bowiem także kilkanaście pieśni, których tekst został już ogłoszony, a z których niejedna znana jest na terenie całego Śląska, nietylko Cieszyńskiego, lecz i Górnego. Tytuł należy więc rozumieć w tym sensie, że zebrane pieśni niekoniecznie są charakteru ściśle lokalnego, jakby rodem z Wiśły, lecz że są śpiewane przez wiślan. Do pieśni znanych i w innych miejscowościach Województwa Śląskiego należy np. śpiewka nr 4 „Czerwone modre orzeszy”, śpiewana w powiecie gliwickim (por. *Pieśni ludowe z polskiego Śląska*, str. 387—388, nr 330). Melodie różnią się trochę, zasadniczy motyw jest jednak jeden i ten sam. W Wiśle znane są tylko dwie zwrotki, gdzie indziej cztery. Pieśń nr 6 w zbiorze F. Pustówki „W czarnym lesie” znana jest w innych miejscowościach; kilka jej wariantów zanotowano na Cieszyńskim i na Górnym Śląsku (por. op. cit., str. 334—335 i str. 475). I znowu uderza, że gdzie indziej znanych jest 7 zwrotek tej pieśni, gdy w Wiśle tylko trzy. Podobnie można od-

szukać w wydawnictwie „Pieśni ludowe z polskiego Śląska” warianty do nru 24 „Usnęła dziewczeczka pod liliją” (str. 339 do 340), do nru 29 „W szczerem polu studnia stoi” (str. 512—514), do nru 40 „Za górami, za lasami” (str. 502), do nru 42 „Przy Dunaju” (str. 172—178). Sam tekst, bez melodyj, niektórych pieśni ze zbioru Pustówki zanotowany już został przez dra Andrzeja Cińciałę w „Pieśniach ludu śląskiego z okolic Cieszyna” (Kraków, 1885). Oczywiście, że między tekstami zachodzą niekiedy znaczne odchylenia. I tak znana była Cińciała śpiewka podana przez Pustówkę pod nrem 5 „Zaszumiała zielona dąbrowa” (por. Cińciała, str. 31, nr 98), nr 14 „Dycki sie mi drzemie” (por. op. cit., str. 23, nr 72, znaczne odchylenie w tekście), nr 19 „Świeć miesięczku” (op. cit., str. 70, nr 245, tylko jedna zwrotka), nr 20 „Zakukała kukulinka” (op. cit., str. 15, nr 47, podobieństwo w pierwszym wierszu), nr 23 „Ach mój miły maryjonku” (op. cit., str. 72, nr 269, tekst znacznie obszerniejszy, bo 8 zwrotek), nr 37 „U naszego jeziora” (op. cit., str. 48, nr 141), nr 39 „Ach mój Boże” (op. cit., str. 126, nr 400, zwłaszcza pierwsza zwrotka), nr 46 „Cztery mile” (op. cit., str. 84, nr 303). Z całą pewnością nr 44 „Od Francji jadę” znana jest i w innych miejscowościach Śląska, podobnie jak nr 10 „Szedł chłopiek”.

Chociaż, jak z powyższego widać, omawiany zbiorek nie zawiera wyłącznie rodzimych wiślańskich śpiewek, to jednak zasługuje na uwzględnienie go w naukowych wydawnictwach, poświęconych pieśni ludowej. Dostarczyć bowiem może całego szeregu ciekawych odmian tekstu i melodyj, a także sporo nowych śpiewek, dotychczas przez nikogo niezanotowanych. Szkoda, że co tylko tak starannie przez prof. Jana St. Bystronia wydane „Pieśni ludowe z polskiego Śląska” nie uwzględniły tego zbioru, choć był dostępny od 1932 roku. Byłby dostarczył

sporo nowego materiału, a tem samem wydawnictwo byłoby kompletniejsze. Ciekawe, że np. melodia pieśni „Przy Dunaju“, podana przez Pustówkę, nie odpowiada żadnej z 8 melodij, podanych w „Pieśniach ludowych z polskiego Śląska“.

Omawiany zbiorzek został opracowany i wydany bardzo starannie. Jedna nasuwa się jednak uwaga, dotycząca opracowania. Oto niemiłe uderza, że wydawca zamiast podać tekst pieśni w gwarze wiślańskiej, starał się go opracować literacko i „spolszczył” go. Motyw, dla których to uczynił, choćby najszlachetniejsze — można się ich domyślić — nie usprawiedliwiają takiego procederu. Tekst w tego rodzaju zbiorach powinien być podany możliwie najwierniej, w pisowni fonetycznej. Jako wzór mogą służyć w tym względzie np. pieśni istebniańskie, zamieszczone w „Pieśniach ludowych z polskiego Śląska”

Na okładce tytułowej zaznaczył wydawca przez umieszczenie w podtytuł „Część I”, że nosi się z zamiarem wydania części dalszych. Spodziewać się więc można, że uznając tę zapowiedź za wiążącą go, ogłosi niedługo część drugą śpiewek wiślańskich, czegoby sobie życzyć należało.

Ks. Andrzej Wantuła.

Jan Szuścik, *Pani wójtowa*, Obraz ludowy w trzech aktach ze śpiewami i tańcami (odznaczony na konkursie T-wa Przyjaciół Teatru Polskiego w Katowicach w roku 1926), Cieszyn 1927, Nakładem autora, Drukarnia P. Mitręgi w Cieszynie, str. 92.

Czcij młodzieży naszą mowę,

Czcij strój i zwyczaje nasze!

Czcij twych Ojców na wymowie,

Czczij two ojcowskie poddasze!

Suknia, galonka, żywotek,

Ten piękny strój przy Cieszynie,

Fartuch, wstążka i kabotek:

Niechże ten strój nie zaginie!

Franciszek Francus.

Zamieszczamy poniżej ciekawy artykuł autora „Pani wójtowej”, skreślony na marginesie sztuki, a zawierający kilka cennych przyczynków do jej wątku i genezy. „Pani wójtowa” dyr. Szufcika, należąc do ubożego repertuaru naszych sztuk ludowych śląskich, spotkała się i spotyka ciągle z wielkim powodzeniem na scenach amatorskich. Nie od rzeczy zatem będzie ogłoszenie komentarza do sztuki, której osoby i tło — jak o tem dowiadujemy się ze wspomnień autora — przeniesiono żywcem z okolic Cieszyna na deski teatru śląskiego. O „Pani wójtowej” pisał Paweł Bobek, Głos ludu śląskiego, 1927, 81. — Przypisek redakcji.

Z „Panią wójtową“ łączy mnie garść najpiękniejszych wspomnień z moich lat młodości. Było to jesienią roku 1898. W pewną niedzielę po południu — byłem wówczas studentem III roku seminarjum nauczycielskiego w Cieszynie, gdy do naszej chaty przybył stary wójt z Krasnej, dalszy kuzyn ś. p. mego ojca, Andrzej Francus. Zwracając się do mnie w tonie rubasznym i zgoła burkliwym, pytał się: „Sztudent, poradzisz ty pisać?“ Miał jakiś konflikt z ówczesnym kierownikiem szkoły, który mu w sekretarce gminnej zastrejkował, przeto do mnie się zwrócił. Przyjąłem godność sekretarza i przez dwa lata ją piastowałem. Zaraz w pierwszy dzień miałem nielada obroty. Było to po pierwszym, chłopci przynieśli podatek, bo wówczas jeszcze gminy wszelkie podatki inkasowały; było trzeba pisać kilka paszportów na bydło, bo na drugi dzień był targ w Cieszynie, załatwić zaległą pocztę ze starostwem, wygotować spis do ewidencji wojskowej i inne drobiazgi. Ja pisałem i inkasowałem pieniądze, podczas gdy wójt podpisywał i przyciskał pieczęć gminną, powszechnie „dziedziński pług“ zwaną, gdyż pieczęć gminna taki właśnie herb posiadała. Kurzyło się nam oboma porządnie z czupryny przez jakie cztery godziny, a gdyśmy naszą pracę ukończyli, „Pani wójtowa“ przyniosła nam dobrej kawulki z przekąską, wesoło i jowialnie szczebiocąc: „Na dyć włożcie co za skórę, bo się na śmierć zapiszecie“.

Przywitała mnie po raz pierwszy w charakterze „Pani wójtowej” i odtąd mnie stale darzyła wszelkimi względami. Znalazłem w domu Państwa Wójtów drugi dom rodzinny i wstąpiłem razem z nimi, jako współaktor do „Pani wójtowej” na scenę zyciową.

„Pani wójtowa“ nie jest bynajmniej jakimś wytworem bujnej fantazji. Jest to rzecz w trzech czwartych wiernie zdjęta z życia ówczesnego naszej śląskiej wsi, razem z osobami i sytuacjami. „Pani wójtowa“ jest to osoba żywa narówni z panem wójtem i innymi osobami całej sztuki, nawet cmentarz i kaplica, owe dzieła wspólnego wysiłku gromady, one wówczas powstały i do dziś dnia stoja.

Nie uchybię czi „Pani wójtowej“, jeżeli przedstawię po krótkce jej życiorys. Urodziła się 5 sierpnia 1830 roku w Bobru koło „Pikiet“ z domu Lipówna, córka rolnika, i przeżyła pełnych 90 lat z na wiązką, jako żona rolnika Pszczółki w Krasnej, w drugim małżeństwie Francuzowa. Umarła 19 listopada 1920 roku. Przez blisko 30 lat jej drugi mąż wójtował w Krasnej, a ona stała godnie obok jego boku. Pochodziła z rodu „twardego“, jak się u nas mówi powszechnie o ludziach długowiecznych. Była siostrą generała Lipy, który przed wybuchem wojny światowej przebywał na emeryturze w Cieszynie. On to wyszedł z domu jako prosty żołnierz, a walecznością i wiernością w służbie doszedł aż do tego wysokiego stanowiska. Jej chrześniakiem i bliskim krewnym jest powszechnie znany i ceniony ks. Monsignore S., który chętnie wspomina swą „potkę“. Dbała o swego chrześniaka i w czasach, gdy był studentem w Cieszynie, nieraz mu przed kościołem farnym dawała „drobne“. Jest narazie babką ks. Prałata T. i spokrewnioną z całą falangą śląskich rodzin. Któż tu u nas na Śląsku nie jest krewnym i powinowatym? Wystarczy tylko przemówić z pierwszym lepszym na drodze

Sprostowanie.

W ostatnim (drugim z b. r.) zeszycie „Zarania“ zamieszczone zostały wspomnienia Wł. Umińskiego z czasów jego pobytu na Śląsku Cieszyńskim. Autor ich, pisząc o „religii“ ewangelickiej, jaką wyznają w większości wiślanie, powiada, że „religia“ ta została wiślanom „narzucona“ „za księcia Waclawa około 1555 roku“, poczem dodaje: „Wprawdzie przed śmiercią książę ten nawrócił się na katolicyzm i nawet prześladował w swoim państewku ewangelików, lecz mimo to, wiślanie pozostali już przy swojej wierze.“

Pomijając niefortunne wyrażenie o „narzuconej religii“, którego mógł być autor łatwo uniknąć, nie narażając się na wywołanie, zapewne niechcący, pewnego niesmaku u wielu, właśnie tej „religii“ ewangelickiej czytelników „Zarania“, trzeba sprostować w powyższem dwie nieścisłości.

W 1555 roku okolice dzisiejszej Wisły nie były jeszcze zamieszkane przez wiślan, bowiem w tym czasie, jak to wykazane zostało obszerniej w 4 zeszycie „Zarania“ z 1933 roku, wieś Wisła jeszcze nie istniała. Mogli wówczas przebywać w tej miejscowości co najwyżej pierwsi osiedleńcy i wędrujący pasterze. Trudno więc w takich okolicznościach mówić o „narzuceniu“ wiślanom „religii“ ewangelickiej.

Druga nieścisłość jest bardziej rażąca. Oto dla autora wspomnień książę Waclaw Adam i jego syn Adam Waclaw są jedną i tą samą osobą. Tymczasem wiadomo, że Waclaw Adam zmarł w 1579 roku, że po jego śmierci w zastępstwie małoletniego syna sprawowała rządy Katarzyna Sydonja, że wreszcie objął rządy Adam Waclaw, w roku 1595, który dopiero w 1610 roku, powróciwszy na łono katolickiego kościoła, zaczął uciskać ewan-

gelików. Więc nie książę Waclaw Adam, za którego czasów szerzyć się poczęła reformacja na Śląsku, lecz jego syn Adam Waclaw był tym księciem, który „nawet prześladował w swoim państewku ewangelików“.

Zastrzeżenia budzi również zdanie autora, iż „w oczach ślązaka katolicyść wiązała się ściśle z pojęciem niemca; każdy zaś polak był w jego oczach ewangelikiem“... Tak samo wzmianka o założonem w 1927 roku z inicjatywy ś. p. Bogdana Hoffa „Towarzystwie przyjaciół Wisły“ nie odpowiada prawdzie. Statut tego towarzystwa wydrukowany został już w 1907 roku, a początki jego sięgają roku 1905, wbrew temu, co podaje „Chronika szkoły nr 1 w Wiśle“, która podaje rok 1911 jako rok założenia wspomnianego stowarzyszenia. Bo oto według „Przeglądu politycznego“ (rocznik XXI, 1905, nr 34), który zamieścił z tego czasu korespondencję z Wisły, właśnie w 1905 roku „zawijazuje się staraniem ks. sup. Burschego i dra Ochorowicza „Towarzystwo przyjaciół Wisły“, którego celem będzie o ile możności — wyrobienie choć w części tych warunków i udogodnień, jakie w innych podobnych miejscowościach istnieją. Zebrano już na ten cel kilkakaset koron.“ Tyle „Przegląd polityczny“.

Sprostowanie powyższe w żadnej mierze nie chciałoby oziębic gorącej sympatii, jaką żywi autor do ślązaków, a specjalnie do wiślan. Podkreślić też należy, że wspomnienia jego nacechowane są ciepłem i dużą serdecznością, za które ślązacy a w szczególności wiślanie winni mu być radzi. Byłoby też pożądanem, by i inne osobistości, znające Śląsk z czasów przedwojennych, napisały swoje wspomnienia o nim.

Ks. Andrzej Wantuła.



4078

11

